

Cmentarz - miejsce dziedzictwa kulturowego



Fotografia: Stanisław Ociepka

Pomnik ks. Karola Wojtyły
- turysty na Śnieżnicy

Limanowska nekropolia
- pierwsza próba badawcza

W słońcu i cieniu
- życie rodzinne Becków

O Józefie Alojzym Be(c)ku
inaczej

Władysław Bochenek,
inżynier, agronom
- limanowianin z wyboru

Moje wojenne wakacje

Zdaniem Zdanowskiego

Inżynier Józef Marek
- poeta czynu

Moja edukacja
w limanowskiej „jedynce”

Bolesław Mężyk
- żołnierz i nauczyciel cz. 2

Pomnik z popiersiem
Ks. Prałata Jana Bukowca
- dodatek specjalny



Kamienna rzeźba ks. Karola Wojtyły - turyści na Śnieżnicy

Fotografie: Karol Wojtas



Wywiadu udziela Danuta Ciesielska z Krakowa, towarzysząca wędrowni ks. Karola Wojtyły na Śnieżnicy.



Kamienny pomnik. W tle drewniana kaplica i pensjonat Ośrodka Rekolekcyjno-Rekreacyjnego na Śnieżnicy.



W czasie Mszy św. abp Marek Jędraszewski. Z lewej ks. Jan Zajac - gospodarz ośrodka.

Poświęcenie pomnika

ks. Karola Wojtyły - turyści na Śnieżnicy

W piątek 15 czerwca 2018 roku na Śnieżnicy (1006 m n.p.m.) w Młodzieżowym Ośrodku Rekolekcyjno – Rekreacyjnym odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika księdza Karola Wojtyły – turyści. Figurę poświęcił metropolita krakowski arcybiskup Marek Jędraszewski. Kamienna rzeźba została wykonana przez artystę śp. Bolesława Gieńca z Mystkowa. Pierwotnie miała stać w Starym Sączu przy Ołtarzu Papieskim, ale w końcu po latach znalazła swoje miejsce w Beskidzie Wyspowym na Śnieżnicy. Rzeźba naturalnych rozmiarów przedstawia młodego Karola Wojtyłę w stroju turysty z plecakiem przy górskim drogowskazie. Relacją z uroczystości poświęcenia oraz krótką historią pomnika zachęcamy Czytelników „Echa Limanowskiego” do wizyty na Śnieżnicy jeszcze w tym roku.



Historia powstania pomnika

Rzeźba z piaskowca naturalnej wielkości przedstawiająca księdza Karola Wojtyłę jako turystę ma krótką, ale skomplikowaną historię. Kamienna rzeźba to dzieło życia śp. Bolesława Gieńca z Mystkowa koło Nowego Sącza. Bolesław Gieniec był rolnikiem. W Mystkowie prowadził duże gospodarstwo rolne, które w czasach powojennych obciążone było wysokimi podatkami i obowiązkowymi dostawami na rzecz państwa. Z tego powodu pan Bolesław nie był w stanie utrzymać rodziny oraz godnie żyć. W pewnym momencie swego życia ze znajomymi kamieniarzami z Mystkowa wyjechał do pracy przy budowie kościoła w Poznaniu. Tam pracując przez dwa lata nauczył się zawodu kamieniarza. W wieku 60 lat przekazał swojemu synowi gospodarstwo rolne i zajął się rzeźbieniem. Mając 85 lat, w 2008 roku postanowił stworzyć „dzieło swego życia” rzeźbę papieża Jana Pawła II. „Zostanie

po mnie na wieczną pamiątkę” – mówił rodzinie i znajomym. Postanowił także, że jego rzeźba będzie nietypowa, ponieważ nie będzie przedstawiać Jana Pawła II w stroju papieskim, lecz młodego księdza Karola Wojtyłę w stroju turysty. „Przecież nasz papież był turystą, wielbicielem górskich wędrówek, zwłaszcza tutejszych szlaków” – podkreślał pan Bolesław w rozmowach ze znajomymi. Pan Bolesław przed przystąpieniem do pracy oraz w jej trakcie przeglądał wiele zdjęć papieża z tego okresu. Rzeźba przedstawia Karola Wojtyłę z lat 50. XX wieku, jeszcze przed tym jak został biskupem w 1958 roku. Autor zgromadził także elementy ubioru i ekwipunku turystycznego z tego okresu, takie jak: kurtka, skarpety, buty oraz plecak. Jako model podczas rzeźbienia pozował młody chłopak z sąsiedztwa. Był to szczupły młodzieniec, wzrostu około 170 cm. W zgromadzonym starym ubiorze i ekwipunku oraz okularach wyglądał dla artysty prawie jak młody Karol Wojtyła na archiwalnych fotografiach. Rzeźba księdza Karola Wojtyły turysty miała stać pierwotnie w Starym Sączu koło Ołtarza Papieskiego. W 2009 roku rzeźba została ukończona. Niestety koncepcja zagospodarowania Ołtarza Papieskiego w Starym Sączu i placu wokół niego uległa zmianie. Rzeźba nie mogła już tam stać, nad czym bołał bardzo jej autor. Pan Bolesław stworzył tę rzeźbę z zamiarem umieszczenia jej w miejscu, gdzie 16 czerwca 1999 roku papież odprawił mszę św. i na jej zakończenie wspominał swoje górskie wędrówki. Dlatego mimo innych propozycji lokalizacji rzeźby nie zgodził się na żadną. Ostatecznie stanęła na kilka lat w ogródku przy jego domu w Mystkowie.

„Niech tu stoi, póki nie znajdzie się dla niej odpowiednie godne miejsce” – mówił autor statuy. „Pamiętaj, jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się o przeniesieniu jej, to tylko w miejsce godne i szczególnie” – prosił przed śmiercią swojego syna Rafała, zostawiając mu niejako swój testament. Bolesław Gieniec zmarł w wieku 91 lat, kilka lat, temu nie doczekawszy chwili, gdy jego rzeźba znajdzie godne miejsce.

Pomnik trafia na Śnieżnicę w Beskidzie Wyspowym

Podróżujący przez Mystków ludzie mijali dom państwa Gieńców, zwalniając i z zaciekawieniem przypatrując się nietypowej kamiennej postaci stojącej w ogrodzie. Przypadkowo dowiedział się o niej także pan Janusz z Dobrej, zaciekawiła go ta rzeźba Karola Wojtyły, inna niż wszystkie. Wspólnie z kolegą, panem Władysławem z Kasiny Wielkiej, doszli do wniosku, ►



► że najlepszym miejscem dla niej będzie teren Młodzieżowego Ośrodka Rekolekcyjno – Rekreacyjnego na Śnieżnicy, prowadzony przez księdza Jana Zająca. Swoim pomysłem panowie Janusz i Władysław zainteresowali gospodarza miejsca, ks. Jana Zająca, któremu pomysł bardzo się spodobał. Pan Janusz z panem Władysławem zawiązali nieformalny komitet organizacyjny i na początku czerwca zeszłego roku uruchomili zbiórkę pieniędzy. W maju tego roku pomnik po wcześniejszej konserwacji przewieziono na Śnieżnicę i umieszczono na postumencie przy drodze prowadzącej do kaplicy.

Uroczystość poświęcenia pomnika

W uroczystości poświęcenia pomnika na Śnieżnicy 15 czerwca wzięła udział liczna grupa pielgrzymów i turystów z bliższej i dalszej okolicy. Byli to mieszkańcy Ziemi Limanowskiej między innymi z Kasiny Wielkiej, Dobrej, Mszany Dolnej, Skrzydłnej, Limanowej, ale też ludzie z Rabki, Krakowa czy też ze Śląska. Wśród przybyłych uczestników uroczystości była także pani Danuta Ciesielska z Krakowa, żona Sługi Bożego Jerzego Ciesielskiego, którego proces beatyfikacyjny toczy się od pewnego czasu na stopniu diecezjalnym. Pani Danuta Ciesielska była jedną z uczestniczek wędrówki górskiej późniejszego papieża Jana Pawła II, która odbyła się dokładnie 65 lat temu. Młody ksiądz Karol Wojtyła wraz z grupą bliskich przyjaciół przeszedł przez szczyty Beskidu Wyspowego z Rabki na Cwilin i Śnieżnicę w czerwcu 1953 roku. Odwiedzili wtedy także szczyt Śnieżnicy i ośrodek rekolekcyjny, który był opuszczony z powodu odebrania go Kościołowi przez władze komunistyczne. Na szczycie Śnieżnicy młodzi ludzie z ks. Wojtyłą byli dokładnie 22 czerwca 1953 roku.

W piątkowe popołudnie 15 czerwca uroczystą Mszę św. w ośrodku rekolekcyjnym na Śnieżnicy odprawił metropolita krakowski arcybiskup Marek Jędraszewski. Mszę św. razem z nim koncelebrowało ponad dwudziestu kapłanów z diecezji krakowskiej i tarnowskiej. W kazaniu arcybiskup Marek Jędraszewski mówił: *„Wiemy, że On – Karol Wojtyła, przemierzając te szlaki, chyba niemal wszystkie w naszej Ojczyźnie, szedł nimi przede wszystkim dlatego, żeby móc spotykać się z Bogiem, Stwórcą tego cudownego świata... Nie bez powodu ci, którzy mieli szczęście należeć do jego rodziny – tak się wtedy mówiło – ci, z którymi dzielił trud wędrowania przekazywali nam także i to, że były chwile, kiedy odłączał się od nich i chciał iść sam. Chciał być niejako sam na sam z Panem Bogiem, a w jego rękę odkrywali różaniec...”*

Liturgię Mszy św. uświetnił zespół regionalny „Robcusie” z Rabki. Po zakończeniu mszy nastąpiło poświęcenie pomnika, którego dokonał arcybiskup Marek Jędraszewski. Jak podkreślał podczas uroczystości gospodarz miejsca, ks. Jan Zając ten rok jest wyjątkowy dla Ośrodka na Śnieżnicy, ponieważ przypada w nim kilka ważnych rocznic. Jest to między innymi 90. rocznica podjęcia decyzji o powstaniu „Kolonii Letniej Sodalicii Mariańskiej na Śnieżnicy” w 1928 roku oraz 65. rocznica pierwszego pobytu Jana Pawła II na Śnieżnicy w 1953 roku, a także 15. rocznica powstania Szlaków Papieskich w Beskidzie Wyspowym i Gorcach w 2003 roku.

Podczas uroczystości przedstawiciele Nadleśnictwa Limanowa przekazali księdzu Zającowi sadzonkę dębu, który zostanie zasadzony na terenie Ośrodka i będzie nosił imię Józef na pamiątkę założyciela dawnej „Kolonii Letniej Sodalicii Mariańskiej” na Śnieżnicy ks. Józefa Winkowskiego 1888-1951.

Cmentarz - miejsce dziedzictwa kulturowego

Według encyklopedii cmentarz to wyodrębniony, oznaczony teren z przeznaczeniem do grzebania zmarłych. Taka sformalizowana definicja nie wydobywa właściwego znaczenia tego miejsca. Bo mimo, że treścią cmentarza są zwłoki, to nośnikami znaczeń są jego elementy naziemne. Dzięki nim cmentarz staje się kroniką dziejów danej miejscowości, w której przyszło nam żyć. Jest świadkiem przeszłości, ukazującym związek dziejów miejscowości z historią regionu, państwa, narodu. Stanowi przestrzeń pamięci, pojedynczego człowieka na nim pogrzebanego, ale także ludzkich dokonań.

Przechadzając się po cmentarzu, wczytujemy się w swoistego rodzaju księgę ukazującą problemy życia i śmierci. Kartami owej księgi są poszczególne groby pojmowane jako świadectwo ludzkiego istnienia i ludzkich dokonań.

Osobliwością cmentarza jest budowanie wspólnoty tych, którzy już zeszedli z tego świata oraz żyjących. Łączą je różnorakie więzy: narodowe, wyznaniowe, rodzinne i w rozmaity sposób one się wyrażają. Modlitwa, patriotyczna manifestacja, chwila cichej refleksji, złożenie kwiatów, zapalenie świecy, znicza są tymi gestami, które poświadczają pamięć o zmarłych.

Cmentarz więc to nie tylko miejsce pochówku naszych najbliższych zmarłych. To kronika dziejów narodu, świadek przeszłości, symbol życia nie śmierci.

Dlatego w cmentarzach widzieli niebezpieczeństwo ci, którzy chcieli naród i kulturę zniszczyć.

Cmentarz to również miejsce zainteresowań turystycznych. Miejsce spotkań i kontaktów międzyludzkich, spacerów i spędzania wolnego czasu.

Niektóre są bardzo znane i stanowią skarb narodowy. Zwiedzanie ich jest żelaznym punktem turystycznym. Stają się bardziej parkami i galeriami na wolnym powietrzu, muzealnym zbiorem pięknych rzeźb, nagrobków o wyszukanych formach z napisami przypominającymi o ważnych postaciach kultury, polityki, nauki.

O tych najsłynniejszych cmentarzach się nie zapomina. Polacy dbają m. in. o stary Cmentarz Powązkowski, Cmentarz Rakowicki, Cmentarz na Pęksowym

Brzysku w Zakopanem, ale także na Rossie w Wilnie i polskie groby na najsłynniejszym cmentarzu Europy Pere-Lachaise w Paryżu.

W Limanowej mamy własną nekropolię, gdzie spoczywają nasi przodkowie, którzy tworzyli historię naszego miasta, regionu i wnieśli wiele wartości do dziedzictwa ogólnonarodowego.

Śp. Jan Wielek opisując limanowskie cmentarze w artykule pod tym samym tytułem („EL”, nr 206-207, listopad-grudzień 2011 r.) we wstępie napisał: *Dla nas, mieszkańców Ziemi Limanowskiej, miasta Limanowa czy parafii limanowskiej, prawda o naszych korzeniach nie pozwala nam zapomnieć o tym co najpiękniejsze jest dla każdego z nas jakim są ojczyste strony. Prawda ta zawarta jest w dokumentach, pamiątkach historycznych i rodzinnych. Najbardziej zaś widoczna owa prawda jest na cmentarzach. Są one śladami więzów, jakie łączą nasze pokolenie z tymi co tu przed nami żyli tworząc z narodem w różnych czasach to, co zastaliśmy i co los nakazuje nam przetwarzać dla przyszłych pokoleń.* ►



Pierwotny wygląd cmentarza parafialnego od strony Potoku Starowiejskiego. Widoczna droga w kierunku miasta (dziś ulica Szwedzka)



Pierwotny wygląd grobu, w którym pochowany m.in. został Józef Bogdanowski, weteran z 1863 roku.



Wygląd współczesny grobu

Jaka jest historia cmentarza parafialnego w Limanowej?

Pisał o tym dr Józef Szymon Wroński 17 lat temu w „Echu Limanowskim” w artykule zatytułowanym „**Najstarsza Limanowska Nekropola**” („EL”, nr 88, październik-listopad 2001 r.), którego fragmenty warto przypomnieć: *W myśl zarządzeń władz austriackich z 12 lipca 1788r. cmentarze (znajdujące się przy kościołach – przyp. red.) należało umiejscowić poza obrębem miasta, by uchronić się od wszelakiej zarazy.*

Do owego zarządzenia zastosował się ks. Szczepan Duszyński (1737-1803), który

na przełomie 1799/1800 postarał się o plac pod nowe limanowskie Campo Santo (święte pole – przyp. red.) poza miastem przy dzisiejszej ulicy Szwedzkiej i wybudował tu jeszcze przed oddaniem cmentarza w 1799 r. drewnianą kaplicę pod wezwaniem św. Krzyża, uzyskując dla niej przywilej celebracji Mszy św. Owa kaplica zmurszała, toteż nowy proboszcz ks. Jan Duszyński (1774-1837) wystawił nową kaplicę jeszcze przed rokiem 1832. Kolejny proboszcz ks. Jan Warpęcha (1806-1877) wybudował tu w 1859 r. ossarium, czyli kostnicę. Tak więc ok. 1860 r. w parafii były czynne dwa cmentarze: przykościelny

i nowy – poza miastem. Ten przykościelny definitywnie zamknięto z przybyciem ks. Kazimierza Łazarskiego, który od 6 lipca 1899 był administratorem, a od 11 listopada 1890 proboszczem limanowskim. W roku 1894 wybudował obszerną kaplicę pod wspomnianym wezwaniem. Tak więc cmentarz parafialny przy obecnej ulicy Szwedzkiej jest nekropolią starą, liczącą ponad 200 lat i posiadającą wiele cennych nagrobków. Niektóre z nich wykonane były w warsztatach krakowskich m.in. przez słynnego Edwarda Stehlika czy Franciszka M. Fischera, a także w Bielsku przez Grogera (...).

Charakter limanowskich nagrobków jest różny. Opisuje je we wspomnianym artykule „EL” znawca tematu, historyk sztuki sakralnej, dr Józef Szymon Wroński.

Między innymi w tym artykule czytamy: *Znajduje się tu wiele cennych nagrobków. Można tu wyróżnić szereg ich typów. Jeden z najstarszych i najpopularniejszych – obelisk (słup zwężający się ku górze i ścięty piramidalnie związany pierwotnie z kultem solarnym, a w czasach chrześcijańskich symbolizujący Zmartwychwstałego Chrystusa, ustawiony jest na mogiłach: śp. Sitowskich, Wójcików, C. K. Pocztmistrza Władysława Przeworskiego, ks. Jana Szaflarskiego i innych (...).*

Warto więc przedstawić wybrane postaci bądź rodziny pochowane na parafialnym cmentarzu limanowskim, które zmarły co najmniej ponad pół wieku temu, a więc na przełomie lat 50/60 XX wieku i wniosły znaczący wkład w rozwój naszego miasta.

Rodzina **Marsów** – właściciele majątku i dworu w Starej Wsi, kolatorzy



Najstarsza część limanowskiego cmentarza. Fotografia sprzed 1910 roku.



Grób Jana Dutki, porucznika wojsk polskich przed i po renowacji



Jeden z najstarszych nagrobków na limanowskim cmentarzu Antoniego Müllera (zm. 1884 r.) limanowskiego aptekarza. W tle widoczna kostnica.
Poniżej: Współczesny wygląd nagrobka Müllera zmieniony w roku 2010

limanowskich kościołów. Pochowani są zarówno w kaplicy cmentarnej, w której znajdują się interesujące nagrobki i tablice epitafijne m.in. prof. Antoniego Izydora Marsa, rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie – zmarł w 1918 r., a także na zewnątrz jak grób rodziny Nałęcz – Przetockich, w którym spoczywa inż. Marian Przetocki – obrońca Lwowa w latach 1918-1919 oraz jego żona Krystyna z Marsów, córka prof. Antoniego Marsa, a także ich córki: Teresa i Anna po mężu Sidorow, po wojnie uczyła j. francuskiego w nowo powstałym Liceum w Limanowej.

W kaplicy tej w krypcie wewnętrznej pochowany jest ks. dr Antoni Zapała – proboszcz limanowski na przełomie 1946/47 r., był on kapelanem wojsk w okręgu krakowskim, a także kapelanem marszałka Polski, Edwarda Rydza Śmigłego.

Rodzina **Sitowskich** – właściciele majątku i dworu w Mordarce, a także Kaplicy Łaski, w której pierwotnie umieszczona była limanowska Pieta.

W grobie tym pochowani są: Maryja z Najdrów Sitowska, zm. w 1885 r. oraz Karol Sitowski zm. w 1887 r. Są to rodzice Jana Sitowskiego – prawnika, pamiętnikarza, który m. in. opisał dziewiętnastowieczną Limanową, zm. w 1922 r.

Spoczywa tam również jego żona Zofia z Myszkowskich Sitowska zm. w 1936 r.

Grobowiec **Gibasów**, ostatnich właścicieli majątku i dworu w Mordarce, w którym pochowani są: Izydor Gibas – sędzia, adwokat, Naczelnik Wydziału Prawno-Administracyjnego w Ministerstwie Robót Publicznych w Warszawie, zm. w 1939 r.

W grobie tym pochowana jest również jego żona Władysława z Sitowkich Gibas oraz syn Andrzej, nauczyciel geografii w I Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej.

Grób **Władysława Przeworskiego**, C.K. Pocztmistrza, zm. w 1896 r.

Grób **Józefa Bogdanowskiego** uczestnika powstania styczniowego, zm. w 1931 r., który spoczywa w odnowionym grobie rodzin: Bogdanowskich i Bugajskich.

Grób **Mariana Konstantego Borzemskiego** – legionisty, uczestnika wojny 1920 roku, olimpijczyka z Paryża 1924 r. w strzelectwie sportowym, kapitana piechoty Wojska Polskiego, wychowawcy wielu kadetów. Po II wojnie światowej zamieszkał w Limanowej, gdzie podjął działalność społeczną. Był założycielem i kierownikiem Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej, malarz amator, zm. w 1959 roku.

Groby rodzin limanowskich aptekarzy: **Antoniego Müllera** – wiceburmistrza Limanowej w latach 60. XIX w., zm. w 1884 r., jego żony Karoliny z Heinleinów, zm. w 1885 r. oraz ich niektórych dzieci. Obok znajduje się grób **Waleriana Wieniawy Zubrzyckiego** oraz jego matki. Był on mężem Franciszki Müller córki Antoniego. Przed I wojną światową dwukrotnie sprawował urząd burmistrza Limanowej, zm. w 1926 r. W pobliżu znajdują się oddzielne groby ich córek: **Klementyny Bączkowskiej**, **Wiktorii Górnej** – obie były farmaceutkami i **Marii Postawy**. Klementyna zmarła w 1968 r. Była znaną osobą z racji wielu pasji m.in. fotograficznej, jest autorką fotografii Limanowej z początku XX w.



Dokumentowała budowę limanowskiego kościoła. Jej mąż Zdzisław Bączkowski był społecznikiem i prezesem limanowskiego „Strzelca”, zm. w 1939 r. Mąż Wiktorii Górnej (zm. w 1978 r.), Czesław, w latach międzywojennych pełnił funkcję wicestarosty, zm. w 1951 r. Najmłodsza córka Maria zm. w 1968 r. jej mąż Ferdynand Postawa, dr prawa, zm. w 1959 roku.

Grób **Leopolda Wintera**, wieloletniego sekretarza Sądu Grodzkiego, działacza społecznego w MKOS, burmistrza Limanowej w latach 1945-1949. Zmarł 1969 roku. Grób **Jakuba Szewczyka** i jego żony Magdaleny. Jakub Szewczyk był właścicielem kamieniołomu na stoku południowym Łysej Góry w Mordarce. Kamień z jego kamieniołomu (piaskowiec) ▶



Widok na stary drewniany kościół oraz kaplicę Marsów na nowo utworzonym cmentarzu poza terenem miasta (dzisiaj przy ulicy Szwedzkiej). Fotografia z początku XX wieku

został подарowany ks. Kazimierzowi Łazarskiemu. Stanowi on zewnętrzne mury kościoła limanowskiego. Zmarł w 1949 roku.

Grobowiec rodziny **Kurtyczów**, w którym pochowani są Jan Kurtycz, adiunkt skarbowy, legionista walczący w obronie Lwowa, Przemyśla i Kresów Wschodnich, zm. w 1925 r. W grobie tym pochowani są: żona Jana, Maria z Winterów Kurtycz, zm. w 1944 r. oraz część ich dzieci: Anna Kucharczyk zm. w 1945 r.; Józef, inspektor szkolny w Limanowej w latach powojennych, kierownik Szkoły Powszechnej nr 1 w Limanowej w latach 1959-1963, a także nauczyciel w Liceum Pedagogicznym w Limanowej; Michalina, barwna limanowska postać, wybitna kordonkarka i hafciarka, prowadziła oryginalny sklep z pamiątkami we wschodniej pierzei rynku, którego witryna była miejscem ekspozycji manifestacji patriotycznej w latach PRL; Helena, pielęgniarka o wielkiej społecznej wrażliwości, uczestniczyła w pracach tworzenia Ośrodka Zdrowia w Limanowej po II wojnie światowej oraz organizacji Służby Zdrowia w Limanowej i regionie.

Grób **Franciszka Skoczenia**, kierownika Szkoły Powszechnej w Sowlinach w latach międzywojennych, zm. w 1948 r.

Grób rodziny **Bursztynów**, w którym m.in. pochowany jest Marceł Bursztyn, prezes limanowskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, przewodniczący Komitetu Budowy Szkoły w Limanowej (dziś Szkoły nr 1), burmistrz Limanowej w latach międzywojennych, zm. w 1933 roku.

Grobowiec rodziny **Gnoińskich i Olesiów**, w którym pochowani są: dr Michał Gnoiński, lekarz zm. w 1943 r., jego żona Maria zm. w 1960 i córka Stanisława po mężu Olesiowa, nauczycielka limanowskich szkół powszechnych, zm. w 1963 r., a także jej mąż Władysław Oleś, społecznik i nauczyciel, organizator i pierwszy dyrektor Publicznej Średniej Szkoły Zawodowej w Limanowej utworzonej w 1947 r. Zmarł w 1968 roku.

Grób rodziny **Gałzińskich**, w którym spoczywają: Stanisław Gałziński, notariusz, zm. w 1935 r., Stella Gałzińska zm. w 1936 r., Stefan Gałziński, kapitan WP zm. w 1947 r., Aniela z Chrzanowskich Gałzińska zm. w 1948 r.

Grób **Jana Dutki**, porucznika wojsk polskich zm. w 1919 r.

Grób **Mariana Kwiatkowskiego**, inżyniera powiatowego, zm. w 1913 r.

Grób **Jana Semika**, żołnierza września, zginął w 1939 r. rozstrzelany wraz z grupą Żydów w kamieniołomie na Cieniawie w Mordarce. Zwłoki przeniesiono na cmentarz.

Groby: **Jerzego Kality i Aleksandra Weinbrennera**, żołnierzy AK, zastrzeleńcy przez granatową policję w roku 1944.

Grób rodziny **Mamaków**, w którym m.in. zostali pochowani Józef Mamak, wójt Sowlin, który funkcję tę pełnił przez 20 lat, działacz ruchu ludowego, organizator strajków chłopskich na Limanowszczyźnie zm. w 1954 r., jego żona Agnieszka zm. w 1935 r., syn Adam, lekarz weterynarii, aktywista ruchu ludowego, działacz konspiracyjny, starosta limanowski w 1945 roku., zm. w 1962 roku.

Grób zbiorowy **kapłanów**, w którym pochowani są m.in. limanowscy proboszczowie: ks. Jan Warpęcha zm. w 1877 r.; ks. Jan Borowski zm. w 1890 r., limanowscy katecheci: ks. Jan Balasa zm. w 1911 r., ks. Jan Rachwał, współtwórca tajnego nauczania, druha harcerski Rzeczypospolitej, zm. 1992 r. Ostatnio w tym grobowcu spoczął prałat ks. Jan Bukowiec, proboszcz parafii sowlińskiej, budowniczy kościoła w Sowlinach.

To tylko wybrane przykłady ukazujące bogactwo treści historycznej o Limanowej i najbliższym regionie, które można odnaleźć na grobach limanowskiego parafialnego cmentarza (pomijam kwaterę wojskową, która ma szczególny status prawny).

Niektóre z grobów, jak i grobowców są w znakomitym stanie technicznym inne niszczej. Dlatego uważam, iż jest potrzeba powołania Społecznego Komitetu Opieki Grobów, takiego Społecznego Wolontariatu, który mając status prawny w swoim statucie miałyby określone konkretne zadania do wykonania.

Osoby zainteresowane ludźmi spoczywającymi na limanowskich cmentarzach mogą ich odnaleźć na fotografiach w albumach „Okrucy pamięci – Limanowa na starej fotografii”, a o ich drodze życiowej można dowiedzieć się z artykułów biograficznych w archiwalnych numerach „Echa Limanowskiego”, bądź w „Księżdzie Limanowian”, autorstwa dr Elżbiety Wojtas-Ciborskiej.

**Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. albumu „Okrucy pamięci”
Reportaż fotograficzny na str. 34-35**

Stara Limanowska Nekropolia Parafialna Pierwsza podjęta jej próba badawcza



Groby żołnierzy armii austro-węgierskiej na parafialnym cmentarzu w Limanowej (widoczne flagi monarchii Austro-Węgier) - 1915 rok

W roku 1993, z inspiracji ks. bp. dr. Piotra Longina Bednarczyka, rodaka limanowskiego, emerytowanego wówczas sufragana tarnowskiego (po Jego rozmowie przeprowadzonej z ks. prał. Józefem Porębą i paru jeszcze innymi limanowianami oraz po odbytym spotkaniu roboczym i spacerze ks. Biskupa z niżej podpisanym na cmentarz limanowski), zrodził się ambitny plan napisania czegoś trwałego i wiążącego o limanowskiej nekropolii parafialnej.

Czy miała to być tylko inwentaryzacja cmentarza, czyli sporządzenie rejestru (ze spisem danych z grobów i nagrobków)? W zamierzeniu miało to być coś znacznie więcej. Czy miała to być monografia czy przewodnik po limanowskiej nekropolii? Na początku trudno było orzec, bowiem projekt nie został do końca jeszcze wyraźnie określony. Dopiero w trakcie prac, a zatem po zebraniu odpowiedniego materiału inwentaryzacyjnego (historycznego i ikonograficznego), miało się okazać, co to w rzeczywistości ma być. W rozmowie z ks. Biskupem doszliśmy do wniosku, że należy pracę rozpocząć, a gdy będziemy mieli zebrany materiał badawczy, wówczas zobaczymy, co z niego da się tak naprawdę, mówiąc kolokwialnie, „wyciągnąć”, na ile ów materiał pozwoli na analizę i interpretację danych, a więc napisanie prawdziwie ambitnego, ważnego dla limanowian dzieła.

Wprowadzenie

W „Mater Dolorosa” – w Kwartalniku Sanktuarium pw. Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej – w numerze 1. z roku 1994 ukazała się odezwa zatytułowana: *Zawiadomienie i prośba*, informująca o planowanych zamierzeniach. Już wówczas była mowa o monografii. Czytamy tam: „Dwaj rodacy limanowscy, Bp Piotr Bednarczyk i dr Józef Szymon Wroński przystąpili do opracowania monografii starego cmentarza limanowskiego [...].

Współautorzy zwracają się do parafian Limanowej, Sowlin i Starej Wsi z następującą prośbą:

– Niech każda aktualna rodzina poda spis zmarłych krewnych, których miejsce pochowania jest znane. Przy czym prosi się o dokładne podanie: a) Imię i nazwisko zmarłego oraz datę urodzenia /miejsce/ i śmierci, b) Jaką funkcję społeczną pełnił zmarły, c) Można podać jakiś charakterystyczny rys jego osobowości czy jakiś szczegół z jego życia.

*Ojczyzna to ziemia i groby,
a naród, który traci pamięć, traci życie.*
(Prymas Tysiąclecia
za C.K.. Norwidem)

– Jeśli obecny grób zmarłego krewnego zlokalizowany jest na dawnym grobie, [proszę] podać – o ile to możliwe – kto był pochowany przedtem.

– Jeśli są na cmentarzu groby zapomniane i nieodwiedzane, podać jakich zmarłych mieszczą w sobie i kim oni byli. Nie [należy] zapomnieć [...] o biednych i bezdomnych.

– Czy mógłbyś [Parafianinie] podać nazwisko zmarłego, którego grób zniknął (np. pod ścieżką), a który na pewno był pochowany na tym cmentarzu.

– Czy na terenie parafii, oprócz cmentarzy wojskowych i cholerycznych, są samotne groby zmarłych: gdzie i czyje?”

Odezwa kończyła się prośbą o przekazywanie odpowiedzi do końca marca bieżącego roku, aby w miarę gromadzonych przez parafian informacji o swoich przodkach składali je (w wersji papierowej) w kancelariach Urzędu Parafialnego: Limanowa, Limanowa-Sowliny, Stara Wieś, co bardzo pomoże w ostatecznej redakcji pracy¹.

Jak z powyższego wynika, o całym przedsięwzięciu poinformowany był ks. prał. Józef Poręba, ówczesny proboszcz limanowski, ks. kan. Jan Bukowiec, proboszcz z Limanowej – Sowlin oraz ks. kan. Marian Tyrka, proboszcz ze Starej Wsi, którzy tej inicjatywie byli przychylni.

Przygotowania do inwentaryzacji

Przystępując do dzieła, należało najpierw wykonać mapkę cmentarza z podziałem na kwartały. Był to warunek *sine qua non*. W związku z powyższym ks. bp Piotr Bednarczyk zwrócił się m.in. do mgr. inż. Roberta Jaworza-Dutki o pomoc w wykonaniu takiej mapki i (prze) prowadzeniu inwentaryzacji cmentarza parafialnego. „Przyjąłem propozycję ▶



Cmentarz parafialny w Limanowej. Fotografia z 2010 roku.

Fot. Stanisław Ociepka

– mówi Robert Jaworz-Dutka – i najpierw powstała mapa cmentarza z podziałem na sektory, których było 21 (zob. mapa)². Wyznacznikiem owego podziału były alejki, ścieżki, względnie przejścia pomiędzy grobami.

Następnym krokiem było znalezienie chętnych ludzi do pomocy przy inwentaryzacji (najlepiej byłoby, gdyby to była młodzież). Ks. Biskup (osobiście czy też poprzez księdza katechetę) zwrócił się z prośbą do mgr. Stanisława Szewczyka, ówczesnego dyr. I LO w Limanowej, aby ten przysłał młodzież szkolną do pomocy w opisywaniu (spisywaniu danych z) nagrobków cmentarnych (tzn. tego wszystkiego, co na danym grobie, nagrobku się znajduje, a więc imię, nazwisko, daty urodzenia i śmierci, motto, inskrypcje oraz inne jeszcze dane). Dyrektor zgodnie z obietnicą przysłał młodzież do pomocy.

Inwentaryzacja

W wyznaczonym dniu młodzież stawiała się z zapałem do pracy. Została podzielona na 21 grup, w każdej grupie były (po) dwie osoby. Każda mini-grupa otrzymała zeszyt z mapką cmentarza oraz zaznaczonym sektorem w celu dokonania spisu (inwentarza). Inwentaryzacja trwała niemal przez cały dzień. Patronowali i pilotowali jej ks. Biskup, inż. Jaworz-Dutka oraz nauczyciele i opiekunowie³, którzy wyjaśniali i udzielali młodzieży stosownych odpowiedzi, gdy pojawiały się zapytania. Młodzież wywiązała się znakomicie z powierzonego jej zadania.

Wykonała ogrom niezbędnej, żmudnej pracy. Sporządziła rejestr grobów i nagrobków⁴, a co ciekawsze nagrobki szkicowała (odwzorowywała ich wygląd). Niektóre sentencje zapisywano kolorowym (zielonym lub czerwonym) długopisem, by je wyeksponować.

Źródła – podwaliną pracy nad monografią

Po dokonanej inwentaryzacji, zapisane zeszyty przez młodzież (rejestrem spisu w liczbie 21), z podpisami ich autorów (uczniów), zostały przekazane ks. bp. Bednarczykowi, głównemu pomysłodawcy dzieła. A zatem mapa cmentarza z podziałem na sektory oraz jego inwentaryzacja to dwa ważne źródła w całym, ambitnym przedsięwzięciu, bowiem dopiero one (owe pozyskane materiały), mogły się stać teraz podwaliną badań i podstawą opracowania naukowego. Do tego doszły jeszcze materiały dostarczone przez parafian, zgromadzone w Urzędach Parafialnych: w Limanowej, Limanowej-Sowlinach i Starej Wsi.

Praca ks. Biskupa – angażowanie innych

W początkowej fazie pracy nad monografią ks. bp Piotr Bednarczyk zajmował się stanem badań, czyli próbował odpowiedzieć na pytanie, czy ktokolwiek wcześniej pisał o cmentarzu limanowskim. Myślę, że z Jego inspiracji powstała ciekawa praca Bolesława Rysia⁵, która w tym zakresie i perspektywie

dalszych badań może być bardzo pomocna. Ponadto ks. Biskup opracowywał biogramy ważnych limanowskich osobistości: artystów, księży⁶, pisarzy, poetów, angażując do tego znanych limanowskich publicystów: Wincentego Gawrona⁷, Jana Urygę⁸, Juliana Jaworz-Dutkę⁹ oraz innych jeszcze (zamiejskowych autorów)¹⁰, publikując ich artykuły w „Mater Dolorosa”.

Materiał porównawczy – fotograficzny

Materiałów dostarczonych przez parafian, zgromadzonych w Urzędach Parafialnych – ja, niżej podpisany – osobiście nie poznałem. Nie były mi one na razie potrzebne, gdyż „moją działką”, w przydziale zadań nad opracowywaniem monografii, były zagadnienia artystyczne: – opracowanie kaplicy cmentarnej pod względem artystyczno-stylistycznym, – opisanie ważniejszych grobów, nagrobków i grobowców oraz – „wyłowienie”, jeśli to możliwe, artystów, którzy byli ich twórcami. Tym się zajmowałem, chodząc po wielokroć na cmentarz i na miejscu, czyli *in situ*, opisując owe pomniki sztuki sepulkralnej.

By jednak odpowiedzieć na pytanie, które nagrobki są najciekawsze pod względem formy, nie wystarczyło tylko odwiedzanie cmentarza ani też studiowanie materiałów inwentaryzacyjnych, potrzebny był także materiał porównawczy – fotograficzny. Zwrócił się zatem Robert Jaworz-Dutka do



swego kuzyna Zbigniewa Dutki, fotografa, o wykonanie inwentaryzacji fotograficznej. Ten materiał dostarczył niżej podpisanemu sam autor i na jego podstawie powstały artykuły opublikowane w „Mater Dolorosa”¹¹. Po latach ów materiał, uzupełniony o zdjęcia red. Stanisława Ociepki, znalazł odzwierciedlenie w szeregu artykułów, jakie zostały opublikowane w „Echu Limanowskim”¹².

Wstępna, smutna konkluzja

Po kilku latach, jakie upłynęły od inwentaryzacji, przed swoją śmiercią (w 2001 r.) ks. bp Piotr Bednarczyk zwrócił się do Roberta Jaworza-Dutki z prośbą, aby go odwiedził. Podczas wizyty powiedział mu wówczas z niejakim smutkiem i żalem, że nie udało mu się doprowadzić zamierzonego projektu do oczekiwanego finału. Ks. Biskup miał taki oto pomysł, aby w przygotowaniu wstępnej wersji pracy pomogli mu także seminarzyści z Tarnowskiego Seminarium Duchownego. Czy to się udało? Tego nie wiemy. Można jedynie przypuszczać, że w zamierzonej przez Biskupa skali, chyba nie.

Przyczyny przerwania pracy nad monografią

A jakie były dalsze przyczyny, że nie udało się doprowadzić zamierzonej pracy do upragnionego końca? Było ich kilka. Niektórzy mogliby sądzić, że praca przerosła autorów projektu. Nic bardziej

mylnego. Praca wymagała jedynie cierpliwości i czasu w dochodzeniu do prawdy, przede wszystkim wobec braku materiałów, które trzeba było dopiero tworzyć, zbierać i archiwizować. Plan był zaiste ogromny, dlatego też z czasem ks. Biskup angażował w to dzieło inne jeszcze osoby, lokalnych publicystów i autorów. Do niżej podpisanego powtarzał często: „Gdy pan wyjeżdża – panie doktorze – na stypendia zagraniczne, proszę tam na miejscu poszukiwać również stosownej literatury naukowej na temat cmentarzy”. Będąc za granicą (w Augsburgu, Greifswaldzie, Kilonii, Kolonii, Monachium, Wiedniu i Zurychu) zgromadziłem jej sporo

i po części ją wykorzystałem w publikowanych artykułach.

Krótko mówiąc, praca obliczona była na długi dystans. Był to nie tylko bieg rozstawnny, czyli sztafeta (wielu autorów), lecz doprawdy maraton, z którego Pan Zastępów odwołał do Siebie w 2001 r. ks. bp. Piotra Bednarczyka i to była główna przyczyna, że maraton został przerwany, bo jak mówią górale: *jak ni ma gazdy, to głupi każdy*.

Postscriptum

Szkoda wprawdzie tych 25 lat, tego ćwierćwiecza, jakie upłynęło od „podjętej pierwszej próby badawczej” nad ►



Projekt planu sektorów cmentarza parafialnego w Limanowej wykonany przez Roberta Jaworza-Dutkę.

cmentarzem limanowskim, ale są też i plusy owego filozoficznego „straconego czasu”. Otóż obecnie o wiele więcej wiemy, mamy dziś znacznie więcej danych, bowiem powstało szereg artykułów i biografów, opublikowanych w „Mater Dolorosa”, „Echu Limanowskim”, „Almanachu Ziemi Limanowskiej”, „Gazecie Limanowskiej” w Biuletynie „Z limanowskiej wieży” oraz w Biuletynie Parafii pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach, w którym znajdują się krótkie, treściwe biografy zmarłych parafian.

Przybyło także sporo literatury naukowej i popularno-naukowej, dotyczącej cmentarzy, sztuki sakralnej i sepulkralnej. Przede wszystkim jednak dysponujemy pokaźnymi dziełami, jakimi są: „Księga Pamiątkowa”, dwa tomy monografii Limanowej, dwa tomy plus Suplement „Okruchów Pamięci”¹⁵ i „Księga Limanowian”¹⁶, gdzie szereg nazwisk, not i biografów, tam umieszczonych, jest naprawdę *darem niebios* dla przyszłej pracy o cmentarzu limanowskim. Jest również bogata literatura wspomnieniowa, obfitująca w pamiętniki (Rodziny Becków, Biedów, Marsów, Sitowskich, Żuławskich i innych). Do tego dochodzi jeszcze znaczący i niepodlegający żadnej dyskusji fakt, że przecież nie startujemy od zera, bowiem w przeciągu tych przysłowiowych *7 tustych lat* (od 1994 do 2001) naprawdę wiele zrobiono. Mamy bowiem: mapkę cmentarza; 21 „odnalezionych” zeszytów, a w nich rejestr grobów; posiadamy przekazane przez parafian dane oraz wykonane liczne fotografie nagrobków.

Oczywiście, że będą potrzebne korekty i uzupełnienia, bo wiele zmieniło się w przeciągu ponad 24 lat, od momentu przeprowadzonej inwentaryzacji, w której zaangażowanych było ponad 40 uczniów, blisko 50 osób łącznie. Nie ma już w mieście żywych ani ks. Biskupa Bednarczyka – *spiritus movens* całego przedsięwzięcia, ani Zbigniewa Dutki, fachowca, co się zowie, ani też Juliana Jaworza-Dutki, zasłużonego dla Limanowej, patrioty, działacza i dziennikarza (przeszli już do miasta zmarłych). Coraz mniej jest ziemnych grobów i mogił, a coraz więcej grobowców, płyt nagrobnych itp. Cezurą jest tu więc wiosna roku 1994. Od tego czasu doszło wiele nowych grobów i grobowców¹⁹. Trzeba więc będzie inwentaryzację i przekazy (dane parafian, uwzględniając teraz parafię w Mordarce) uzupełnić i zweryfikować.



Jeden z najstarszych grobów rodziny Wójcików - istnieje do dnia dzisiejszego.

Należy jednak podjąć tę pracę niezwłocznie także dlatego, żeby dotychczasowe badania nie poszły na marne. Zbierzmy więc odpowiednich ludzi (geodetę, historyka, historyka sztuki, księdza, polonistę itd., a mamy przecież w mieście zaangażowanych i utalentowanych historyków i innych specjalistów) i stwórzmy z nich rozumiejący się, zgrany zespół. Określmy zadania i wytyczmy cele i dopiero wówczas przystąpmy metodycznie z nową energią i pasją, pod okiem prężnych koordynatorów-redaktorów do zamierzonej pracy.

Czas więc dojrzał, by napisać wreszcie zaplanowaną już od dawna monografię cmentarza parafialnego. Należy dołożyć wszelkich starań: ułożyć całościowy plan, rozpisać go na role – przydzielić zadania do przemyślanego, kompleksowego spisu

treści, nawiązując przy tym do istniejących i zapoczątkowanych już przez ks. bp. Piotra Bednarczyka (i Jego współautorów) badań. Powinien znaleźć się w nim: dotychczasowy stan badań, opis dziejów najstarszego cmentarza przykościelnego i jednocześnie przyczyny jego likwidacji oraz początek i zręby obecnego itd. Zagadnienia historyczne i artystyczne też powinny zająć tu poczesne miejsce. Praca kończyłaby się listą (czy też wykazem) osób spoczywających na limanowskim cmentarzu w układzie alfabetycznym (z podaniem numeru sektora), tak, jak to już po części zaczął sporządzać Robert Jaworz-Dutka.

Może ten skromny artykuł da impuls i wleje nowe życie, by móc kontynuować pracę nad rozpoczętą monografią czy przewodnikiem po limanowskiej



Prace porządkowe na limanowskim cmentarzu. Fotografia z początku XX wieku.

nekropolii. I da Bóg, że uda się ją dokończyć. A że może być ta praca krzepiąca dla nas wszystkich, to nie ulega żadnej wątpliwości, bowiem pisanie o cmentarzu to odkrywanie prawdy o naszych przodkach i o nas samych i jest to poniekąd dążenie do prawdy, która przecież nas wyzwala. To powinno nas tym bardziej zachęcać i mobilizować. I jeszcze jedno: jesteśmy dłużnikami tych, którzy od nas odeszli do wieczności, za to, co dla nas zrobili. Winniśmy im wdzięczność, a to zobowiązuje. Jestem więc optymistą. Panie i Panowie, do dzieła!

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

¹ *Zawiadomienie i prośba*, Limanowa, dn. 27 lutego 1994 r., „Mater Dolorosa” (dalej: MD), R.XVII:1994, nr (36), Styczeń-Marzec, s. 5.

² Przypomniał o tym Robert Jaworz-Dutka w dniu 5 lipca 2018 r. w rozmowie z autorem niniejszego felietonu.

³ Wśród nich był również niżej podpisany, który mając na względzie dobro małej ojczyzny zrezygnował z wyjazdu historyczno-zabytkoznawczego do Lwowa, zorganizowanego przez prof. dr. hab. Kazimierza Karolczaka, obecnego rektora Uniwersytetu Pedagogicznego im. Edukacji Narodowej w Krakowie.

⁴ Wprowadziła legendę, czyli znaki objaśniające: kwadracik [] oznacza: grób jest bez napisu, nieoznakowany, nieopisany (zob. sektory: 5 i 14); krzyżyk + oznacza: na grobie brak tablicy z inskrypcjami (zob. sektor: 17); znak x oznacza: grób jest szczególny, jest na nim rzeźba, np. Pieta, najczęściej MB Bolesnej Limanowskiej (zob. sektor 3); kwiatusek (stokrotka) oznacza, że grób wyróżnia się szczególną jakością (zob. sektor 8).

⁵ Bolesław Ryś, *Przewodnik po cmentarzach w Limanowej*, Limanowa 1995.

⁶ Ks. Bp. Piotr Bednarczyk, Ks. Kazimierz Łazarzski, *Wychowawca Parafii Limanowskiej w Duchu Konstytucji 3 Maja*, [w:] *Księga Pamiątkowa 200-Lecia Konstytucji 3 Maja w Limanowej*, pod red. ks. Józefa Poręby, ks. Władysława Pasiuta i Stanisława Rakoczego, Limanowa 3 Maja 1991, s. 73-88. Pierwszy – zasadniczy rozdział Biuletynu „Mater Dolorosa” nr 2 z 1993 r. poświęcony był ks. prał. dr. Ludwikowi Kowalskiemu (ks. Józef Poręba, Kustosze Sanktuarium, *Słowo Wstępne*; Bp Piotr Bednarczyk, *Życie i główne dzieło Ks. Ludwika Kowalskiego: Koronacja Piety Limanowskiej*’, Józef Szymon Wroński, *Ksiądz prałat Ludwik Kowalski kontynuator dzieła księdza prałata Kazimierza Łazarzkiego*’, Ks. J. Kupiec, Ks. Ludwik Kowalski współautorem pracy o *Błogosławionej Kindze*, MD, R.XVI:1993, nr 2 (33), Kwiecień-Lipiec, s. 5-7, 8-17, 18-23, 24-26.

⁷ Wincenty Gawron, *Jakub Szewczyk z Mordarki*, MD, R.XVII:1994, nr 1 (36), Styczeń-Marzec, s. 21-22. tenże,

Józef Strug – pisarz ludowy. W 120-rocznicę urodzin, MD, R.XVIII:1995, nr 1 (40), Styczeń-Marzec, s. 21-24.

⁸ Jan Uryga, *Wspominając Szczepana Szubryta*, MD, R.XVIII:1995, nr 1 (40), Styczeń-Marzec, s. 42-45;

⁹ Julian Jaworz-Dutka, *Z pielgrzymką z Tymbarku do Ostrej Bramy. Cmentarze wileńskie*, MD, R.XIX: 1996, nr 4 (47), Październik-Grudzień, s. 52-58.

¹⁰ *Z jednej Rodziny: I. Dr Michał Gnoiński* (na podstawie materiałów nadesłanych przez X. Prof. Gnoińskiego opracował P.B, 2. Władysław Oleś – nauczyciel (nadesłała Irena Oleś), 3. Dr hab. Andrzej Oleś – Z Limanowej w daleki świat (nad. Irena Oleś), MD, R.XVII: 1994, nr 2 (37), Kwiecień-Czerwiec, s. 5-7, 7-8, 8-10.

¹¹ J.Sz. Wroński, *Rozwiązanie zagadki* (o obelisku na cmentarzu parafialnym, poświęconym Józefowi Wójcikowi i jego synowi Janowi), MD, R.XIX:1996, nr 3 (46), Lipiec-Wrzesień, s. 37-41.

¹² Już po śmierci ks. bp. P. Bednarczyka, chcąc wyniki wstępnych badań chociażby po części przybliżyć limanowianom: J.Sz. Wroński, *Najstarsza limanowska nekropola*, „Echo Limanowskie” (dalej: EL), R.IX:2001, nr 88, s. 22-25; tenże, *Kaplica-mauzoleum na cmentarzu parafialnym w Limanowej*, EL, R.IX:2001/2002, nr 89/90, Grudzień-Styczeń, s. 28; tenże, *Limanowskie nekropole (cz. 2) – Cmentarz parafialny w Łososinie Górnej* [typologia rzeźb], EL, R.X:2002, nr 99, s. 16-18, to też jedna z najstarszych nekropoli, dziś w granicach miasta Limanowej); tenże, *Pomniki i epitafia w kaplicy-mauzoleum (Rodziny Marsów na Cmentarzu Parafialnym Pod Siwym Brzegiem w Limanowej)*, EL, R.XXII:2014, nr 240-241, s. 20-22.

¹³ *Księga Pamiątkowa 200-Lecia Konstytucji 3 Maja w Limanowej*, op. cit., Limanowa 3 Maja 1991.

¹⁴ Limanowa – dzieje miasta, t. 1, 1565-1945, pod red. Feliksa Kiryka, Kraków 1999; Limanowa – dzieje miasta, t. 2, 1945-1989, pod red. Tomasza Biedronia, Kraków 2002.

¹⁵ *Okruchy Pamięci – Limanowa na starej fotografii*, T. I, opracowanie redakcyjne Jerzy Bogacz, Stanisław Ociepka, Limanowa 2009; *Limanowa na nowszej fotografii*, T. II, opracowanie redakcyjne Jerzy Bogacz, Stanisław Ociepka, Limanowa 2010; Suplement, opracowanie redakcyjne Jerzy Bogacz, Stanisław Ociepka, Limanowa 2012.

¹⁶ *Księga Limanowian*, red. Elżbieta Wojtas-Ciborska, Limanowa 2007. Wiem, że dr Elżbieta Wojtas-Ciborska planuje wydanie II tomu „Księgi Limanowian” i od dłuższego już czasu pracuje nad nim.

¹⁷ J.Sz. Wroński, Ks. Bp Piotr Bednarczyk *jakiego znam...* [Wspomnienia serdeczne], EL, R.IX:2001, nr 87 (wrzesień), Dodatek specjalny, s. 6-7.

¹⁸ Cykl artykułów: Zbigniew Sułkowski, *Przychodzimy, odchodzimy. Pamięci Zbyszka Dutki – bardzo osobście*, EL, R.XXIV:2016, nr 262-263, (Lipiec-Sierpień), s. 27-29; St. Ociepka, *Współczesny dokumentalista – Wspomnienia o Zbyszku Dutce*, tamże, s. 29-30.

¹⁹ Przybyło więc nowych nazwisk, a na niektórych grobach wręcz przeciwnie – ubyło, gdyż chowając zmarłych na prochach np. rodziców, nie umieszczano na nowych tablicach nazwisk przodków.

Bohaterowie limanowskiej nekropolii

Cmentarz podobnie jak każdy ślad działalności kulturalnej człowieka pozostaje źródłem historycznym, które podobnie jak dokument, bardzo wiele mówi nam o przeszłości. Dyscypliny naukowe czerpiące z tego źródła, nie tylko historia, ale również archeologia czy nawet socjologia wytworzyły specjalne określenie – kultura memoratywna. Sam termin memoracja oznacza „upamiętnienie”, objawiające się poprzez rzecz, powstałą w tym celu. Tzn. memoratywny może być napis, rzeźba, kamień, pomnik, itd.

Kultura memoratywna jak wyżej wspomniałem jest obiektem badań różnych grup naukowców. Dla historyka sztuki nagrobek to przede wszystkim tworzywo z jakiego on powstał, a także odpowiedni kształt, nierzadko rzeźba, która towarzyszyć ma zmarłemu w jego wiecznym odpoczynku. Natomiast dla archeologa i przede wszystkim historyka dużo bardziej istotne będą informacje, jakie mogą znaleźć się na nagrobku. Posługując się nimi, możemy nie tylko ustalić precyzyjną datę narodzin czy zgonu konkretnego człowieka, ale również koneksje rodzinne (genealogia), a także inne informacje, w tym m.in. tożsamość narodową danej osoby. Przykładowo od lat 90-tych XX wieku historycy zajmujący się tym problemem przeczesują cmentarze na terenach pogranicza polsko-ukraińskiego, gdyż zdarzało się, że osoba będąca greko-katolikiem, uważała się za Polaka, przez co napisy na jej nagrobku są pisane łatinicą, nieco rzadziej zdarzają się odwrotne przypadki. Podobnie ma się sytuacja z cmentarzami na terenach należących do zaboru pruskiego. Nekropolie stanowią więc ogromną kopalnię wiedzy przede wszystkim o społeczności, jaka zamieszkiwała dane terytorium.

Cmentarz to więc historia całej społeczności, opowiedziana przez pryzmat jednostek, których szczątki są tam pochowane. Trudno sobie wyobrazić historię Polski bez warszawskich Powązek, krakowskich Rakowic czy lwowskiego Łyczakowa. Podobnie jak trudno wyobrazić sobie historię każdego z tych miast bez tych cmentarzy. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w przypadku małych miast, miasteczek, a często i wiosek, których dzieje, niczym w zwierciadle odbijają się w płytach nagrobnych lokalnych cmentarzy. To tam spoczywają

kości osób, które dla tej konkretnej społeczności zasłużyły się w największym stopniu. Miejsce, gdzie oni leżą, jest nie tylko miejscem ich spoczynku, ale również miejscem, gdzie można w ciszy i zadumie oddać im hołd, za to kim byli i co zrobili.

W Limanowej takim miejscem jest cmentarz parafialny. To on dla naszej niewielkiej społeczności pełni rolę Rakowic, Powązek czy Łyczakowa, gdyż to tam złożone są kości Marsów, Sitowskich czy Bączkowskich. Tam też leżą inni cisi bohaterowie naszego miasta jak Marian Kwiatkowski, czy Wincenty Gawron. Chociaż nazwiska te są znane, mniej lub bardziej, warto choćby w telegraficznym skrócie, przypomnieć dlaczego postaci te są tak ważne dla miasta, a ich szczątkom należy się szczególny szacunek wszystkich mieszkańców, nie tylko ich rodziny. Bez nich Limanowa nie byłaby tym miastem, którym jest, dlatego wszyscy winniśmy im wdzięczność, którą dzisiaj już można okazać wyłącznie zapalonym zniczem na nagrobnej płycie.

O Marsach i ich dorobku wielokrotnie już pisano. Trudno przecenić wkład

tegoż rodu i jego poszczególnych członków w rozwój miasta. Kto wie, czy bez Marsów Limanowa w ogóle byłaby miastem, czy nie podzieliłaby losu Tymbarku, który przecież w czasie gdy protoplasta Antoni Józef zaczynał swoje długie „panowanie” na starowiejskich dobrach, było miastem nie tyleż konkurującym z Limanową, co wręcz dystansującym go pod wieloma względami? Oczywiście wiatry dziejów wiały Marsom pod żagle, jednak bez takich sterników jak Antoni Józef czy Zygmunt trudno sobie wyobrazić inicjatywy takie jak Towarzystwo Zaliczkowe, Browar o międzynarodowej sławie czy wreszcie Rafinerię, która była największym osiągnięciem miasta w XIX wieku. Nie mówiąc już o życiu towarzyskim Limanowej, którego animatorami w dużej mierze byli właśnie Marsowie lub osoby z nimi związane.

Zostawmy jednak Marsów, oni mają swoją kaplicę na cmentarzu, której przeszłość raczej nie jest zagrożona, w przeciwieństwie do innych miejsc spoczynku na limanowskiej nekropolii. Obok kaplicy złożono szczątki rodziny Bączkowskich, wśród których na szczególną uwagę zasługuje Klementyna z d. Zubrzycka. Wszyscy interesujący się choćby nieco dziejami Limanowszczyzny wiedzą, że była ona pierwszą aptekarką w Limanowej i w ogóle jedną z pierwszych przedstawicielek tej profesji w całej Galicji. Już sam fakt zarządzania tak ważną instytucją jak apteka przez kobietę, do tego



Płyta nagrobna rodziny Zubrzyckich



Grobowiec rodziny Bączkowskich



jeszcze w małym i konserwatywnym mieście jak Limanowa, powoduje że warto zwrócić nań uwagę. Jednak nie tylko to. Klementyna była również pasjonatką fotografii, dzięki czemu uwieczniła na kliszach wiele istotnych wydarzeń, jakie miały miejsce w jej życiu takich jak np. budowa kościoła parafialnego w Limanowej, czy wspomnianej już rafinerii. Te zdjęcia to pamiątka, której wartości historycznej nie sposób przecenić, gdyż bez Klementyny i jej aparatu (a także talentu) nie mielibyśmy okazji zobaczyć wielu miejsc, których dzisiaj już nie ma.

O ile Zubrzycka-Bączkowska pozostała nam wspaniałe fotografie Limanowej, na których widać codzienność miasta, o tyle Jan Sitowski, którego szczątki również spoczywają w Limanowej, jako swój „spadek” przekazał nam kapitalne anegdoty o mieszkańcach zarówno Limanowej, jak i całej Nowosądeckizny, dzięki czemu możemy tę codzienność poczuć. Błyskotliwe oko autora i ostre nierzad pióro pozwala przenieść się do XIX wiecznego małego galicyjskiego miasteczka. Oczywiście nie można odmówić koloryzowania, a czasem wręcz fantazjowania, tylko oddając się lekturze jego pamiętników możemy lepiej zrozumieć codzienność naszych przodków. Chociaż to te wspomnienia powodują, że wybudował on sobie pomnik „trwalszy niż ze spizu”, to jednak warto spacerując czasem po cmentarzu parafialnym, zatrzymać się nad jego grobem i pomyśleć o nim, a także czasami, jakie opisywał.

Nie wszyscy posiadali jednak talent artystyczny czy pisarski, mimo to warto o nich pamiętać, gdyż bez ich codziennej pracy trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie miasta. Tak jest choćby w przypadku Mariana Kwiatkowskiego, inżyniera wykształconego w Monachium, którego poplątane życiowe losy rzuciły w latach 80-tych XIX wieku do Limanowej. Tam to osiedlił się wraz ze swoją żoną i spędził w niej najpiękniejsze lata swojego życia. Aż do swej śmierci w 1913 r. pracował on jako inżynier zajmujący się dbaniem o limanowską sieć drogową, a zwłaszcza drogę prowadzącą do Nowego Sącza. W czasie dynamicznego rozwoju

handlu utrzymanie dróg w należytym stanie było niezwykle istotne, dlatego praca Kwiatkowskiego miała ogromne znaczenie. Ponadto jego dom był jednym z „przyczółków kultury” w naszym mieście, gdzie przy dźwiękach pianina goszczono m.in. rodziny Becków czy Baudouina de Courtenay. Takie miejsca posiadały wymierną korzyść zwłaszcza dla miejscowości, gdzie przecież nie było publicznych bibliotek, czy domu kultury – o wyższe wartości musieli więc ludzie dbać we własnym zakresie. Była to elita przez duże „E”.

Wśród tej plejady spoczywającej na limanowskim cmentarzu warto również wymienić zmarłego w 1991 r. Wincentego Gawrona (nie mylić z Walentym, autorem „Wspomnień z Limanowszczyzny”) artystę plastyka, absolwenta ASP w Warszawie. W czasie II wojny światowej był więźniem w Oświęcimiu. Przyjaźnił się z rotmistrzem Witoldem Pileckim, któremu po wojnie zadedykował swoje wspomnienia. Był również uczestnikiem powstania warszawskiego. Więziony przez NKWD uciekł za granicę. Na emigracji przebywał aż do końca PRL, gdzie pracował na rzecz Polonii Amerykańskiej.

Takich postaci zasłużonych dla miasta, lub też wywodzących się z naszych terenów i rozślawiających Limanowszczyznę jest na limanowskiej nekropolii bardzo wiele. Jesteśmy, my wszyscy mieszkańcy Limanowej, winni im pamięć i dbałość o ich miejsca spoczynku. Poza tym cmentarz to wielka księga naszej wspólnej historii, zapisana losami osób, które tam złożyły swoje kości. Powinniśmy pamiętać o tym szczególnie w Limanowej, mieście, które nie może pochwalić się wieloma zabytkami i historycznymi pamiątkami. Nasza historia, to nie pomnikowy Piłsudski na koniu, nasza historia to kości osób, których życie i działalność dawała wymierne korzyści miastu i jego mieszkańcom. Przynosiła mu chlubę i rozślawiała jego imię w Polsce i na świecie. Nie możemy o tym zapominać. Gdyż pomimo, że mamy swoją małą historię, która być może nie jest porywająca dla kogoś z zewnątrz, to jednak jest ona NASZA, i jako osoby deklarujące się jako limanowianie powinniśmy dbać o jej pamiątki w każdej formie, także w formie memoratywnej.

Fotografie od góry:

- Epitafium nagrobne Antoniego Józefa i Franciszki Marsów w kaplicy cmentarnej
- Obelisk na grobie rodziny Sitowskich
- Głaz nagrobny na mogile inż. Mariana Kwiatkowskiego

Fotografie: Stanisław Ociepka

W słońcu i w cieniu – życie rodzinne Becków

Pod takim tytułem ukazał się w 2010 roku w „Echu Limanowskim” artykuł Marka Zawisa, ówczesnego doktoranta ze Śląska („EL” nr 192-193, wrzesień – październik, 2010 r.). W artykule tym przybliżył on postać Anny Beck oraz jej drogę życiową w okresie od 1865 do 1872 roku. Źródłem tych wspomnień jest jej pamiętnik pisany w latach młodości.

Anna z Kuczyńskich Beck urodzona w 1832 roku była matką Józefa Alojzego Beka, sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej w latach 1899-1918, późniejszego wiceministra spraw wewnętrznych (1919-1920) w rządach: Jana Paderewskiego i Leopolda Skulskiego oraz prezesa Związku Powiatów RP, członka Trybunału Stanu.

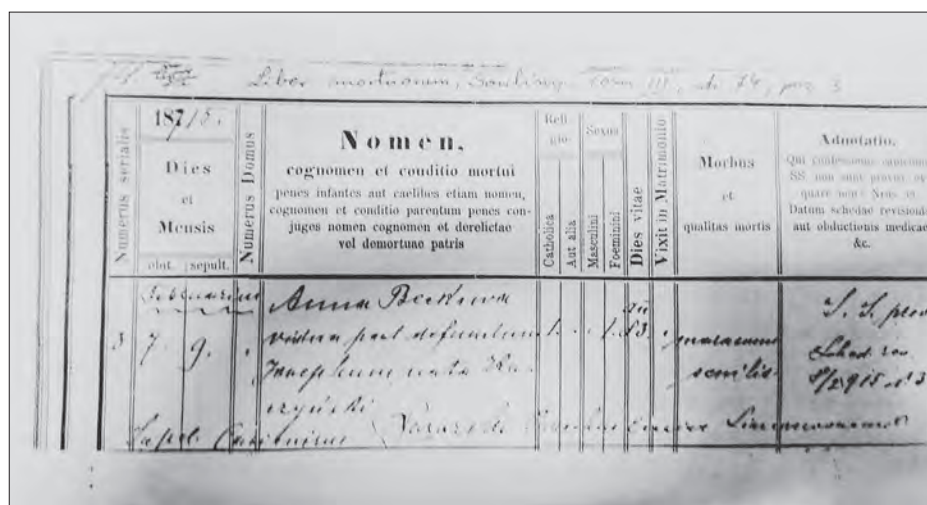
Anna Beck zmarła w 1915 roku w Limanowej i została pochowana na cmentarzu parafialnym tuż obok kaplicy Marsów. Pod koniec swojego życia mieszkała u syna Józefa w Limanowej w „Bekówce”, domu rodzinnym Beków, w którym wychował się jej wnuk, także Józef, legionista, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, późniejszy minister spraw zagranicznych w latach 1932-1939.

Niewiele wiemy o Annie Beck.

To właśnie na podstawie wspomnianego pamiętnika możemy częściowo odtworzyć jej drogę życiową.

Urodziła się w Mińsku na Białorusi w 1832 roku. Jej ojcem był Jan Kuczyński nauczyciel, zaś matką Anna z domu Gawlikowska. Miała ośmioro rodzeństwa. Jako mała dziewczynka wraz z rodzicami przeniosła się do Piotrkowa Trybunalskiego, gdyż po pożarze ich domu w Mińsku rodzina podupadła finansowo. Przy tak licznej rodzinie panowała tam bieda. Relacje Anny z matką nie były najlepsze. Z kart pamiętnika wylewa się wielka gorycz, zawsze gdy wspomina o matce. Więż z ojcem była zaś zupełnie inna, bardzo go kochała i podziwiała. W latach 50-tych XIX wieku rodzina przeniosła się do Lublina, gdzie niestety nie dane im było spokojnie mieszkać. Krótko po przeprowadzce miasto nawiedziła epidemia cholery, która w rodzinie Kuczyńskich zebrała tragiczne żniwo. Najpierw zmarł ukochany ojciec, następnie najmłodsza siostra Ludwika. Wielkim ciosem dla Anny była śmierć ukochanego brata Jana. Zdarzenia te załamały ją tak, iż sama autorka pamiętnika chciała odejść z tego świata, bowiem nie widziała dla siebie już żadnej radości i nadziei.

Tutaj praca Józefa, męża Anny była bardzo ciężka w związku z czym podjął starania o przeniesienie go z powrotem do Lublina, bądź do Zamościa. Ostatecznie w roku 1866 przeprowadzili się do Białej Podlaskiej, gdzie w 1867 roku urodził się kolejny syn Józef Alojzy, późniejszy sekretarz Rady Powiatowej w Limanowej. Jego rodzicami chrzestnymi byli Alojzy Gajewski i Wiktoria Kalinowska.



Odpis aktu zgonu Anny Beck z ksiąg parafialnych w Limanowej

W roku 1861 wyszła za mąż za Józefa Becka urodzonego 1833 r. Ślub odbył się w kościele św. Krzyża w Warszawie w kaplicy Matki Najświętszej.

Anna i Józef Beckowie mieli pięcioro dzieci: Antoniego, Marię, Dionizego, Józefa, który na drugie imię miał Alojzy i Jana. Pierwszy syn Antoni urodził się w 1862 roku, jednak przeżył tylko rok i kilka miesięcy. Jego śmierć zbiegła się z powstaniem styczniowym, w którym zginął brat Anny.

Beckowie wówczas mieszkali w Lublinie. Ponieważ mąż Anny, Józef był urzędnikiem pocztowym, często zmieniał miejsce pracy. Z nakazu służbowego Beckowie przenieśli się z Lublina do Pułtuska, gdzie najpierw wyprawił swą żonę, która oczekiwała dziecka. Jej podróż w ogarniętym powstaniem kraju była uciążliwa. Anna dojechała do siostry w Warszawie gdzie 1864 r. na świat przyszła córka Maria. W Pułtusku rodzina Becków w skromnych warunkach mieszkała niedługo, tu urodził się syn Dionizy w 1865 roku.

Trudna sytuacja gospodarcza w Królestwie Polskim sprawiła, iż w społeczeństwie polskim była ogromna bieda. Praca męża Anny na poczęcie pochłaniała całą jego energię i czas, nie przynosiła efektów finansowych, tak więc rodzina Becków również dotkliwie doświadczyła szeregu problemów. Szczególnie pierwsza połowa 1868 roku była bolesna w doświadczenia, bowiem często chorował mąż, córka Maria i syn Józef. Pomimo tych trudności Anna stwarzała jak najlepszą atmosferę rodzinną, w której z wielką miłością wychowywała własne dzieci jak i Julkę, córkę swojej siostry.

W roku 1870 po pięcioletniej niebytności w Warszawie odwiedziła swoją rodzinę podczas Świąt Wielkanocnych. Przebywała tam tylko z dziećmi, ponieważ mąż był obciążony obowiązkami służbowymi.

Zmiany organizacyjne w Urzędzie Pocztowym doprowadziły w roku 1871 do przeniesienia służbowego Becka z całą rodziną ponownie do Lublina. Okazało się,



Grób Anny Beck wygląd pierwotny (powyżej) oraz współczesna tablica pamiątkowa (poniżej). Fot. St. Ociepka



że ich pobyt w tym mieście trwał tylko miesiąc. Anna z dziećmi wyjechała do Krasnegostawu, miejsca nowego przydziału służbowego męża. W Krasnymstawie w roku 1871 urodził im się ostatni syn Jan. W tym małym miasteczku spędzali spokojne życie, a małżonek był zadowolony z pracy. Byli rodziną głęboko katolicką, dla której życie duchowe odgrywało bardzo ważną rolę. Ich dzieci, w tym Józef, dorastały w rodzinnej atmosferze, która miała duży wpływ na ich późniejsze losy, gdyż wartości wyniesione z domu zaprocentowały.

Zapiski w pamiętniku Anny Beckowej świadczą o spokojnym, skromnym życiu kobiety-matki i żony, przerywane relacjami o chorobach męża i dzieci.

W tych wspomnieniach niewiele można zdobyć informacji o życiu rodzeństwa Anny Beck, zaś duża ich część to porady życiowe dla swoich dzieci. Zapiski w pamiętniku urywają na roku 1872.

O dzieciach Anny Beck wiemy, że Józef Alojzy Beck ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, po studiach osiadł w Warszawie, tu pracował oraz organizował „konspirację niepodległościową i socjalistyczną”. Współtworzył w Warszawie Związek Robotników Polskich. Współpracował ze Stanisławem Grabskim późniejszy premierem II RP. W 1891 r. został aresztowany i osadzony w pawilonie X Cytadeli Warszawskiej. Po śledztwie, sądzie i półrocznym wyroku Józef Alojzy Beck wyemigrował z żoną Bronisławą i synem Józefem do Galicji. Za sprawą Zygmunta Marsa, marszałka powiatu limanowskiego, osiadł na 19 lat w Limanowej, gdzie piastował funkcję sekretarza Rady Powiatu i wniósł wiele nowatorskich rozwiązań dla rozwoju naszego regionu, o czym pisaliśmy w „Echu Limanowskim”. Po śmierci męża Anna Beck zamieszkała u syna w Limanowej na „Bekówce”. Do domu tego wniosła dobry klimat, była zawsze ciepła i życzliwa.

Starszy brat Józefa, Dionizy osiadł w Zakopanem. W latach młodości często u stryja spędzał wakacje Józef Beck, późniejszy minister spraw zagranicznych. Tam prawdopodobnie w roku 1913 po raz pierwszy spotkał komendanta Józefa Piłsudskiego z racji organizowania Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży. Inne źródła podają, że owo spotkanie miało miejsce w rodzinnym domu na „Bekówce” w Limanowej.

Nie wiemy nic o losach Marii i Jana Becków.

O Józefie Alojzym Be(c)ku inaczej

Stanisław Ociepka

W ostatnich tygodniach zarówno w prasie regionalnej, jak i na stronach internetowych, często pojawiał się temat związany z rodziną Be(c)ków. W publikacjach tych pojawiało się wiele nieścisłości, wręcz nieprawd. Nie zmierzam się do nich odnosić. Jedynie podam kilka przykładów dotyczących pisowni nazwiska Be(c)k w oparciu o dokumenty.

Ogólnie wiadomo, iż rodzina Becka według przekazu z rodzinnej tradycji ma korzenie od flandryjskiego marynarza Bartholomeusa Becka, który pod koniec XVI wieku znalazł się w służbie polskiej. Skąd więc bierze się dezinformacja w poprawności pisowni tego nazwiska?

Problem rozpoczyna się od *Józefa Alojzego Beka*, który w 1899 roku wraz z rodziną opuszcza zabór rosyjski (o czym w dalszej części felietonu) i dociera do Galicji.

Najpierw przebywa we Lwowie, a następnie za sprawą Zygmunta Marsa, marszałka powiatu limanowskiego, współwłaściciela majątku i dworu w Starej Wsi – Limanowej, podejmuje pracę na stanowisku sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej, którą wykonuje do 1918 r.

O jego działalności na tym stanowisku pisaliśmy w „Echu Limanowskim” w artykule „*Józef Bek – twórca samorządności w Polsce*” („EL”, nr 258-259, marzec-kwiecień 2016 r.). Artykuł ten opierał się o informacje zawarte w przewodniku

zatytułowanym „*Nasz dorobek kulturalny*”, wydanym w 1917 r. w Warszawie. W rozdziale tego pamiętnika „*Dobrze rządzony powiat*”, autorka Stefania Bojarska, która wędrując po Galicji zachodniej, a więc i po Ziemi Limanowskiej, przyglądała się efektom pracy samorządowej i opisała m. in. działalność Józefa Alojzego Beka.

W tych właśnie latach Be(c)k podejmuje decyzję usunięcia litery „c” z pisowni swojego nazwiska. Czyni to z dwóch powodów: pierwszy, że chciał spolszczyć pisownię, drugi zasadniczy, że było to utrudnienie władzom carskim poszukiwań jego osoby i wyciągnięcia konsekwencji za działalność niepodległościową.

W tym momencie trzeba wyraźnie podkreślić, iż jego syn przysły minister spraw zagranicznych Józef Be(c)k, powrócił do rodowej pisowni umieszczając literę „c” w nazwisku. Stało się to w okresie krakowskim, kiedy pobierał nauki w Gimnazjum.

Jakie ogólnie dostępne dokumenty potwierdzają powyższe rozważania?

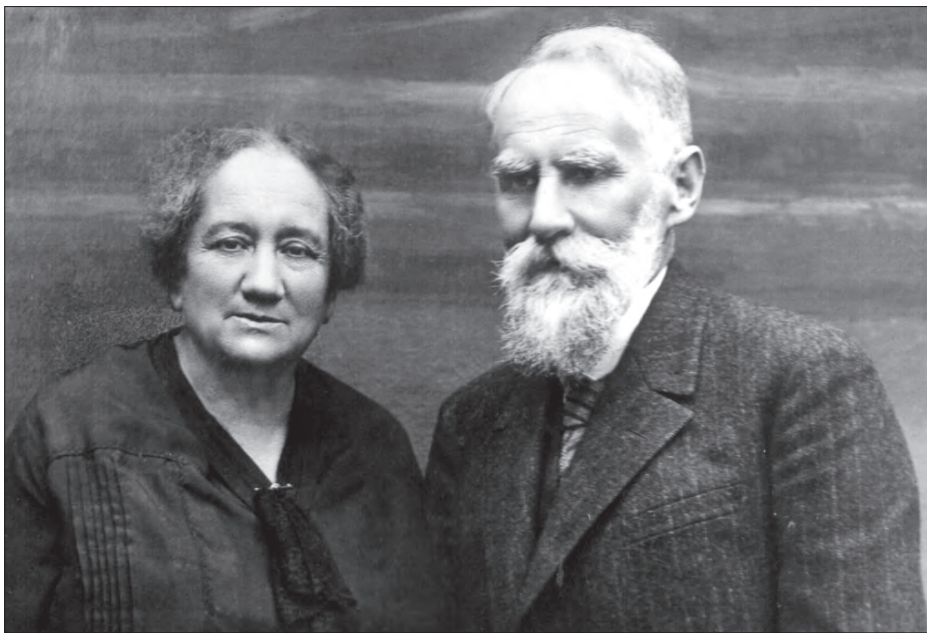
Są to przede wszystkim oryginalne zapisy w aktach ksiąg parafialnych w Limanowej. Do nich zaliczamy akt zgonu Anny Beck, wystawiony przez proboszcza parafii ks. kanonika Kazimierza Łazarskiego w lutym 1915 r. (patrz reprodukcja), akt chrztu Józefa Becka z czerwca 1900 r., w którym można odnaleźć adnotację: *Chłopiec ten urodził się w Warszawie. Choć rodzice dziecka urodzeni i wychowani byli w prawowitej wierze rzymsko-katolickiej, wobec takiego stanu rzeczy, że prababka dziecka w linii bocznej w wierze greckokatolickiej (to jest unickiej) urodziła się – chcąc nie chcąc pod przymusem bezbożnych praw Cesarstwa Rosyjskiego – zmuszeni byli potomstwo swoje we wschodnio-greckiej schizmie ochrzcić i wychować. Żeby zaś zbawienia duszy ich samych i potomstwa na szkodę nie narazić zmuszeni byli przez religijne prześladowania emigrować do zaboru austriackiego (...)* Kazimierz Łazarski proboszcz kościoła Limanowskiego.

W tejże dokumentacji znajduje się także akt chrztu Kazimierza (poniżej reprodukcja) brata Józefa (***tak przysły minister spraw zagranicznych miał brata Kazimierza, który urodził się w 1905 roku w Limanowej, o czym mało kto wie, ale o tym za chwilę***). W zapisie tej adnotacji w rubryce o danych ojca urodzonego Kazimierza, wyraźnie widzimy przy nazwisku Beka literę „c”, gdzie dalej w zapisie jest sekretarz powiatu limanowskiego.

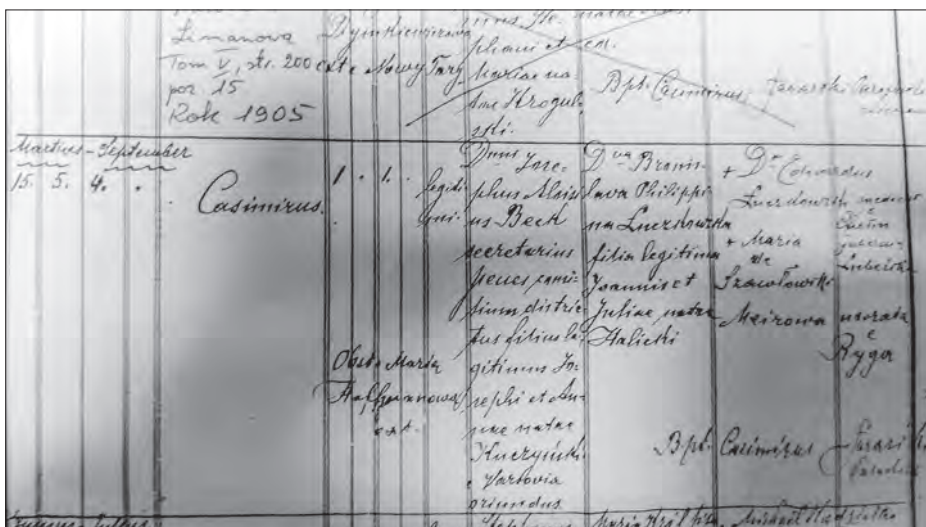
Natomiast na cmentarzu powązkowskim na mogile Be(c)ków, znajdują się informacje. Na kamiennej steli: *Kazimierz Bek, żył lat 17 zm. VIII 1922 r.*, zaś na kamiennej płycie umieszczonej pośrodku tego samego grobu: *Józef Bek poniżej w nawiasie Beck, żył lat 64 zm. dn. 12 XII 1931 r. i dalej: Kochał Wierzył i Czynił/ Umiłowany Był.*

Warto więc przypomnieć w skrócie jego drogę życiową, a przede wszystkim cechy charakteru, które czyniły go człowiekiem bardzo wrażliwym.

W artykule Agnieszki Suskiej z Uniwersytetu Wrocławskiego zatytułowanym „*Rozważania na temat rodziny w publikacjach Józefa Becka. Komunikat z badań*”, możemy odnaleźć opis działań wyężonej pracy społeczeństwa na rzecz odbudowy niepodległego państwa oraz



Józef Alojzy Bek z żoną Bronisławą



Odpis aktu urodzenia Kazimierza, drugiego syna Józefa Alojzego Becka. Z ksiąg parafialnych w Limanowej.

działaczy społecznych, którzy pracowali nad odtworzeniem struktur: państwa na wszystkich szczeblach, państwowych, wojewódzkich, powiatowych oraz gminnych. Wśród tych działaczy był Józef Alojzy Be(c)k.

Urodził się 21 lipca 1867 roku w Białej Podlaskiej jako czwarte dziecko, Józefa i Anny z Kuczyńskich Beck. Tam też ukończył gimnazjum, następnie studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Po uzyskaniu dyplomu pracuje jako aplikant sądowy.

Jako młody student poświęca się pracy społecznej niebezpiecznej i odpowiedzialnej. Widzi niedolę szerokich mas robotniczych, nieświadomych, niezorganizowanych, pozbawionych swobód politycznych, pragnień, więc chce z ich pomocą wywalczyć lepsze jutro. Dlatego bierze udział w 1889 r. w założeniu Związku Robotników Polskich i wchodzi w skład jego kierownictwa. Za tę działalność polityczną był aresztowany 23/24 listopada 1891 r. i więziony w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej, a następnie umieszczony w petersburskim więzieniu. W roku 1882 żeni się z Bronisławą Filipiną z Łuczkowskich (ur. 1863 r.). Ślub odbył się w Warszawie w parafii św. Aleksandra. Pierwszy ich syn Józef, urodził się 4 października 1894 r. w Warszawie. Dwa miesiące po narodzinach syna zostaje po raz drugi aresztowany i osadzony na pół roku w „Krestach” w Petersburgu. Po wyjściu z więzienia otrzymał dwuletni jawny nadzór policyjny oraz zakaz osiedlania się w Królestwie Polskim. Dopiero po dwóch latach 20 listopada 1896 r. w cerkwi prawosławnej w Warszawie odbył się chrzest syna Józefa w obrządku unickim.

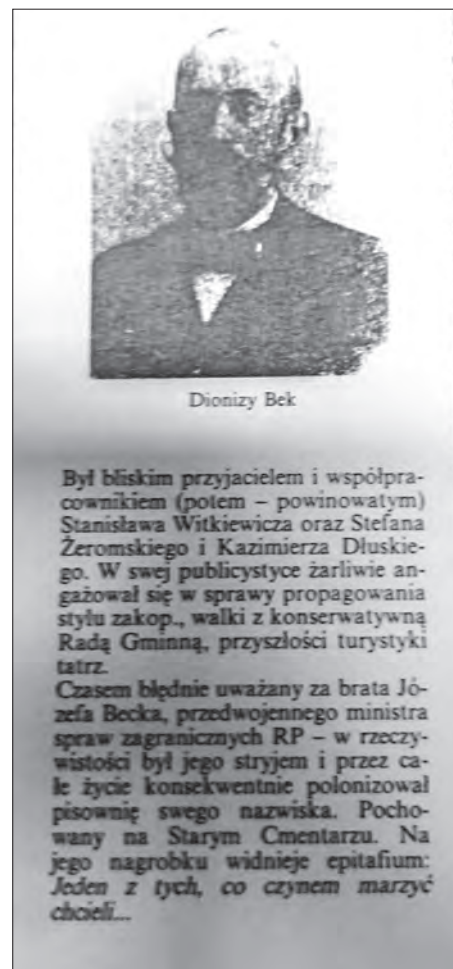
Józef Alojzy Beck zostaje przymusowo osiedlony w Rydze, gdzie zajmował się studiami i pedagogiką. Wykładał na pensji prywatnej p. Szymanowskiej oraz uczył tam języka polskiego na tajnych kursach. Ze względów osobistych, prześladowania religijnego, wraz z żoną i synem ucieka do Galicji. Po krótkim pobycie we Lwowie i praktyce w lwowskim wydziale Rady Powiatowej przybył w 1899 r. do Limanowej, gdzie zyskał protektora w osobie Zygmunta Marsa. W Limanowej zostaje sekretarzem Rady Powiatowej i pełni tę funkcję do 1918 r. W roku 1900 po raz drugi zostaje ochrzczony syn Józef, jak wyżej wspomniałem. Zaś w roku 1905 w Limanowej w rodzinie Be(c)ków przychodzi na świat drugi syn Kazimierz. Wspomina się również o trzecim dziecku Be(c)ków, córce, która zmarła w wieku niemowlęcym, brak jest jednak na to dokumentów.

Bekowie będąc w Limanowej, wybudowali własny dom przy ulicy Krakowskiej na gruntach Marsa (obecnie skrzyżowanie ul. Piłsudskiego z ul. Słoneczną). Dom ten zwany popularnie „Bekówką” istnieje do dziś.

Jak wspominałem Józef Alojzy Bek wniósł wiele do samorządności. Dziewiętnaście lat pracy jego na tym stanowisku sprawiło, iż powiat limanowski był stawiany za wzór wszystkim innym samorządowcom Małopolski. Te duże jego zasługi spowodowały, iż zostaje zaproszony do Lublina, gdzie się przenosi, by pełnić funkcję dyrektora Biura Stałego Prezydium Zjazdów Sejmikowych. W Lublinie powstaje też z jego inicjatywy czasopismo „Samorząd”, które w późniejszych latach przeniesiono do Warszawy.

W roku 1919 zostaje mianowany podsekretarzem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pełni tę funkcję przez kolejny rok najpierw w rządzie Paderewskiego, a następnie Skulskiego. Kolejne miejsca pracy to zarząd Komisariatu Cywilnego frontu południowo-wschodniego, potem wraca do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie pozostaje do 1922 roku. Rezygnuje ze stanowiska dyrektora departamentu ze względu na stan zdrowia. Pracuje jednak w organizacji społecznej „Społem”, a od maja 1924 roku w Radzie Zjazdów Samorządu Ziemińskiego i w tym czasie obejmuje katedrę profesorską na Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Jako profesor przygotowuje przyszłe kadry pracowników samorządowych. W 1928 roku zostaje powołany na prezesa Związku Powiatów Rzeczypospolitej. W 1929 roku zostaje członkiem Trybunału Stanu.

W uznaniu zasług jego pracy odznaczony Komandorią Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Niepodległości i Złotym Krzyżem Zasługi.



Dionizy Bek

Był bliskim przyjacielem i współpracownikiem (potem – powinowatym) Stanisława Witkiewicza oraz Stefana Żeromskiego i Kazimierza Dłuskiego. W swej publicystyce żarliwie angażował się w sprawy propagowania stylu zakop., walki z konserwatywną Radą Gminną, przyszłości turystyki tatr. Czasem błędnie uważany za brata Józefa Becka, przedwojennego ministra spraw zagranicznych RP – w rzeczywistości był jego stryjem i przez całe życie konsekwentnie polonizował pisownię swego nazwiska. Pochowany na Starym Cmentarzu. Na jego nagrobku widnieje epitafium: *Jeden z tych, co czynem marzyć chcieli...*

Fragment biografii Dionizego Beka, brata Józefa Alojzego. Z publikacji Macieja Pinkwarta i Lidii Długołęckiej-Pinkwart „Encyklopedia Zakopane od A do Z”. Wyd. Warszawa 1994.

► Józef Alojzy Bek umiera 12 grudnia 1931 roku w chwili wjazdu do Płocka. W Płocku miał uczestniczyć w zjeździe powiatów województwa warszawskiego. Zostaje pochowany na cmentarzu powązkowskim w mogile, w której został pochowany syn Kazimierz w 1922 roku.

Jakim był człowiekiem Alojzy Józef Bek?

Profesor Franciszek Bujak opisując czasy, gdy Józef Alojzy Bek działał w powiecie limanowskim pisze, iż Bek: „zdołał sobie szacunek i zaufanie u ogółu ludności miejscowej i to nie tylko inteligencji i mieszczaństwa chrześcijańskiego, ale i Żydów. Osiągnął to dzięki zaletom swego charakteru i umysłu oraz wielkie doświadczenia w pracy społecznej”.

Józef Alojzy Bek zostawił po sobie zasobne dziedzictwo swoich myśli i dążeń, zamieszczonych w pismach, broszurach i książkach. Swoje przemyślenia, plany działania oraz rozwiązania poszczególnych kwestii opracował z punktu widzenia władz samorządu terytorialnego. Co jest oparte na wieloletnim doświadczeniu zdobytym podczas pobytu w Limanowej oraz w późniejszych latach przewodniczeniu przez Beka Związkowi Powiatów Rzeczypospolitej.

Do pierwszej grupy zagadnień traktujących o rodzinie były poruszane przez Beka problemy dotyczące dziecka. Był z troską losem dzieci opuszczonych, postulował o objęcie ich opieką. Podkreślał znaczenie wychowania. Ważną i popieraną przez Beka akcją było dożywianie dzieci szkolnych. Usilnie walczył o to, by pomieszczono wszystkie dzieci w szkołach powszechnych. O tym fakcie tak pisał: *pozwoliliśmy na przymus szkolny, a nie stać nas na wzniesienie potrzebnej ilości odpowiednich budynków szkolnych. Więc w wynajętej ciasnej i niskiej izbie mordują się setki dzieci wraz z nauczycielką w niewypowiedzianym zaduchu, stwarzając żer dla gruźlicy.*

Z wielkim entuzjazmem popierał zrzeszające się organizacje w szczególności młodzieży wiejskiej. Istotnym dla Beka zagadnieniem była kwestia zdrowia publicznego i kwestia higieny. Proponował, aby w szkołach powszechnych wprowadzono „Kartę indywidualną dziecka”, która zawierałaby pełną informację o każdym dziecku i umożliwiałaby jedną z form współpracy z rodziną ucznia. Dostrzegał on palący problem dużego procentu analfabetyzmu wśród ludności Rzeczypospolitej. Organizował oświatę

Niniejszem zawiadamia się, że

NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE

za duszę zmarłego dnia 12 grudnia 1931 r. w Warszawie

s. p.

JÓZEFA BECKA

długoletniego Sekretarza Rady Powiatowej limanowskiej, b. Wice-Ministra Spraw Wewnętrznych, b. Członka Trybunału Stanu, dotychczas. Prezesa Związku Powiatów Rzeczypospolitej i Dyrektora Biura tegoż Związku, Komandora orderu „Polonia Restituta”, Krzyża Niepodległości, oraz Złotego Krzyża Zasługi

odbędzie się we wtorek dnia 22 grudnia 1931 r. w limanowskim kościele parafjalnym o godzinie 9-tej rano.

Wszystkich, którym jest droga pamięć s. p. JÓZEFA BECKA, zasłużonego dla ludności, Powiatu, jak i Samorządu Powiatowego, zaprasza na powyższą uroczystość żałobną

Przewodniczący TYMCZASOWEGO WYDZIAŁU POWIATOWEGO i TYMCZASOWEJ RADY POWIATOWEJ w imieniu członków Rady i Wydziału, oraz urzędników limanowskiego Powiatowego Związku Komunalnego.

Limanowa, dnia 18 grudnia 1931 r.



Grób Józefa Alojzego Beka i syna Kazimierza na cmentarzu powązkowskim w Warszawie

pozaszkolną. Rozpowszechniał oświatę wśród młodzieży i dorosłych w różnych jej formach przez zakładanie bibliotek, tworzenie szkół, kursów, świetlic, lotnych odczytów, ilustrowanych filmami itp.

Praktycznym poświadczeniem dla powyżej postulowanych rozwiązań były osiągnięcia Józefa Alojzego Beka w Limanowej, o których pisaliśmy wielokrotnie w „Echu Limanowskim”.

Zdaniem Zdanowskiego...

Tak jak wspomniałam w poprzednim wydaniu „Echa”, wyłowiałam z *Dzienników Juliusza Zdanowskiego* ślady ludzi związanych z naszym regionem. Już w pierwszym tomie jest zapis ze środy 11 sierpnia 1915 roku o Jerzym Żuławskim, najbardziej chyba znanym przedstawicielu zasłużonej artystycznej familii, pochodzącej z Młynnego. Widać autora poniósł temperament wobec politycznego oponenta, bowiem pisze w tonie, jakiego po stu latach używa niejeden internauta, sądząc, że jest anonimem. Zdanowski także nie wychylał się zza witryny, a tu masz! Autora znamy i czytamy!

Wiadomość jest także o śmierci Żuławskiego. Wprawdzie piszą, że zginął bohaterską śmiercią, ale niekoniecznie, bo wprawdzie w mundurze chodził, ale przeważnie po Zakopanem, a potem po Kętach, Oświęcimiu i Piotrkowie. Dla literatury szkoda niewielka, a i dla sprawy narodowej chyba także. Jak ten człowiek nienawidził ludzi innej „orientacji”, aż ziajało od niego, gdy wołał o zdrajcach i tchórzach.

Jeszcze takie rzeczy mówi ktoś wracający z frontu, ale z Krupówek... Miał Żuławski tego roku w Zakopanem występ. Chodziło o zebranie funduszków na biedę. Przyszła myśl odczytania utworów przez samych autorów. Bardzo dostosowany był żartobliwy urywek Żeromskiego, śliczne wiersze, niestety źle czytane przez psującego ich nastrój Kasprowicza, fałszywy zgrzyt, z patosem przez jakiegoś młodzika deklamowana apoteoza 1905 r[oku] i „Czerwonego Sztandaru” [K. Przerwy-] Tetmajera, bojącego się samemu zepsuć z tym oddaniem wiersza. Przemówił i Żuławski. Kropnął mowę polityczną tonem rzucenia pereł między świnię w środowisko niedostrojone, mowę pełną żółci i inwektyw. Dziwnie nie licował mundur i szabla do tego. I między innymi powiedział: „Nigdyśmy z Niemcami nie walczyli i ci, co nam chcą wmówić, że stamtąd niebezpieczeństwo, czynią to dla zamaskowania tchórzostwa, usprawiedliwienia beczynności, zasłonięcia zmoskwiczonych wyobraźni”. Gdy się zrobił szum na sali, palnął szablą w podłogę i krzyknął: „Nigdy, Grunwald to czasy

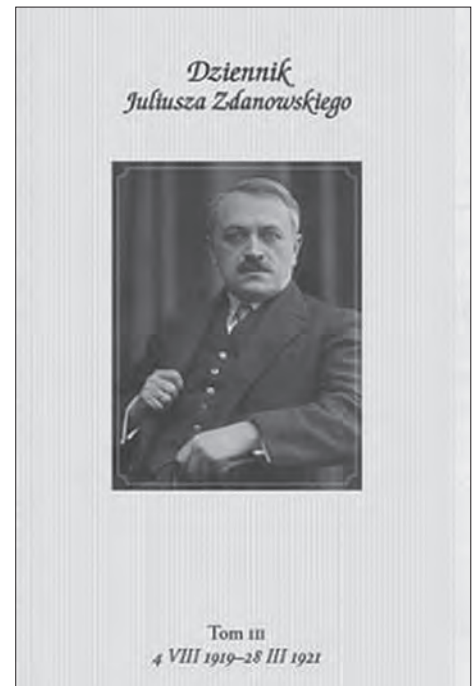
przedhistoryczne!”. A jednak pierwsze po Kościuszcze stworzone wojsko polskie, w chwili, gdy Legiony te rzeczywiście nabrały znaczenia wojska polskiego, komu Warszawę odebrały? Pyszną karykaturę Żuławskiego zrobił Sichulski. Z wyciągniętymi wielkimi i długimi nogami bieży naprzód, niosąc pod pachą armaty, na których napis: „Armaty Sobieskiego dla oswobodzenia Wiednia” (s. 55-56). W przypisie i indeksie nazwisk wkradła się pomyłka, gdyż podano imię Juliusz jako bohatera tego cytatu, który zmarł 9 sierpnia 1915 roku na tyfus w szpitalu wojskowym w Dębicy koło Tarnowa i tam spoczywa w kwaterze wojskowej.

Spośród Żuławskich jest na kilku stronicach tomu V (103, 104, 106), wymieniony Zygmunt, brat Jerzego, jako czołowy związkowiec i poseł z listy PPS, próbujący mediacji w obliczu strajku krakowskiego w 1923 roku.

Tylko raz w całych *Dziennikach* jest wspomniany Mieroszewski (znajome w Limanowej nazwisko, informacji bliższych brak) i lwowski mistrz geografii oraz nauk pokrewnych, profesor Eugeniusz Romer (1871-1954), na którego mapach wychowały się liczne pokolenia. Był on spokrewniony z Romerami w Jodłowniku. Często ich odwiedzał, a także ma ulicę w Limanowej:

Wszystko idzie do wojska. Józio Mieroszewski [?] (150 cm wysoki, z dużym brzuszkiem i całe życie chory, lat 47) byłby po miesiącu już poszedł na front, gdyby nie 40-stopniowa gorączka, która go na razie od tego zwolniła.

W związku z tym zagadnieniem różne wiadomości. Między innymi opowiadał mi prof. Romer, zapalony statystyk, że na początku wojny zaczął robić studia nad listami strat, które doprowadziły go do szeregu interesujących wniosków. Ugrupowanie wojsk, zachowanie się poszczególnych narodowości, ubywanie materiału, dawały ciekawe obrazy. Ale nie wiem skąd przyszła mu myśl rezultaty niektórych swoich dociekań przedstawić Najwyższej Komendzie. Poproszono go grzecznie, ale stanowczo, aby te zajęcia przerwał [T. I, s. 211-212 – 27.03.1916, poniedziałek].



Najczęściej autor wspominał o Bekach (ojcu i synu), gdyż z Józefem Alojzym Bekiem (seniorem) łączyła go przyjaźń, współpraca i zażyłość. Traktował go jako swego mentora z podziwem dla propaństwowej aktywności starego Beka. Przypuszczam, że ich rozmowy o samorządach mogły nawiązywać do limanowskich praktyk i doświadczeń J. Beka. Ojciec szczylił się synem (ten jako Beck; autor „*Dzienników*” czasem nie rozróżnia tej pisowni), przeżywał jego porażki, a gdy syn Józefa Alojzego poszybował w górę i był – jako jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Józefa Piłsudskiego – szefem jego gabinetu, pośredniczył w wielu sprawach pokrzywdzonych zwykłych ludzi, których bolączki przemyczał – poprzez syna – do najwyższych władz. Awansu na ministra spraw zagranicznych ojciec nie doczekał [w l. 1930-1932 jego syn był wiceministrem – uwaga E.W.C.]. Pozostaje przytoczyć kilka stosownych cytatów, odsyłając zainteresowanych do *Dzienników* z przeświadczeniem, że znamienita limanowska księżnica postarała się o dzieło, w którym uwieczniony jest jej założyciel.

Wiceministrem spraw wewnętrznych (został) Januszewski. (...) Zaprosił sobie do pomocy swojego p. Becka (Józefa Alojzego) ►



Uroczystości w Warszawie z okazji 10. rocznicy III powstania śląskiego. Widok ogólny sali Rady Miejskiej podczas akademii. W 1. rzędzie siedzą m.in. minister poczt i telegrafów Ignacy Boerner (x), wiceminister spraw zagranicznych Józef Beck (1), prezes Związku Miast Polskich Józef Beck senior (2), zastępca szefa Sztabu Głównego gen. Stanisław Kwaśniewski (3), wicekomisarz rządu na m.st. Warszawę Józef Olpiński (4) - 1931 r. Fot. NAC

► z biura zjazdów sejmikowych na szefa sekcji samorządowej. Zaproponował mu przygotowanie nowej ordynacji sejmikowej i do rad gminnych [T. II, s. 38 – 9.11.1918, sobota; z tej daty wynika, że niepodległość „wybuchła” w poniedziałek].

Przyjechał z Odessy syn Becka. Kapitałny, wyrobiony 24-letni chłopak. Po traktacie brzeskim przedostał się do III Korpusu Polskiego. Był pod Kaniowem. Udało mu się potem wymknąć. W misjach wojskowo-dyplomatycznych krążył między Murmaniem, Donem i Jassami. Z wiszącą nad sobą karą śmierci od Austriaków, ściągnął na siebie taką karę od bolszewików, którym pod przybranym nazwiskiem wyciągnął 300 młodzieży. Widział i zrozumiał podłość polityczną sfer powstrzymujących w Rosji ruch wojskowy polski, widział głupotę ziemian ukraińskich opierających się na Niemcach, których fetowali, nie wierząc, że ta chwilo-wa pomoc się na nich zemści. Widział niesłychane rozjuszenie chłopów ruskich, stwarzające warunki, że Polska mogłaby tam wrócić tylko z wojskowymi kolumnami – albo wcale [T. II s. 61 – 18.11.1918, poniedziałek].

Beck opowiadał o uroczystości dekorowania syna jego krzyżem *Virtuti Militari*. Odbyło się to na dziedzińcu belwederskim z wielką galą i pompą. Dekret wymienia zawsze, za co order nadany. Dostał go teraz za bitwę... nad Stochodem w r[oku] 1916, gdzie koło tzw. Polskiej Góry ochronili legionści odwrót Austriaków. Czy nie jest drwinami z historii i igraniem z przekonaniem ludzkimi dekorowanie dziś za takie dawne rzeczy? [T. IV s.173 – 6.11.1921, niedziela].

[O przewrocie majowym:] Bek, ojciec jednego z głównych działaczy zamachu, twierdzi zdaje się od syna, że Piłsudski o drugiej w nocy we środę dopiero się dowiedział, że zamach przygotowany. Wszystkie relacje wskazują, że był przekonany święcie, że wystarczy mu wejść do Warszawy, by wszystko padło plackiem i by kwiatami obsypany stawić się na zapowiedzianym na wieczór raucie [T. VI, s. 11 – 18.05.1926, wtorek].

[O aresztowaniach przywódców opozycji nocą z 9/10 września:] We Włoszech doszły mnie już gazety z wydarzeniami warszawskimi. Rozwiązanie sejmu, bezprawia dokonywane ukradkiem, chyłkiem

bez odkrytej przyłbicy, obelgiwane. Choćby mieli większość w sejmie, co zrobią, nikt nie wie. Przecież każdy z nich inaczej wyobraża sobie reperowanie konstytucji. I to niesłychane płwanie na wszystkich i zohydowanie wszystkiego. Cele znowu ukryte w tajemnicy. W tajemnicy też ukryte to, kto kieruje. Poinformowani twierdzą, że do-tąd Świtalski. Teraz Matuszewski, Be[c]k i z tyłu Sosnkowski. Ale i ich Piłsudski zaskakuje. Co [siedzi] w jego głowie, oni sami nie wiedzą. System gwałtu i opo-nowania może się udać. Tłumy zależnych. Organizacje robotnicze rozbite. Sfery posiadające widzą do wyboru Centrolew lub Piłsudskiego. Kurczowo się ich trzymają. Chłop w biedzie i bojący się policjantów. Duże tu różnice z Galicją, gdzie jednak aresztowanie Witosa wywołało wzbu-rzenie. W Poznańskim mniej doznali Centrolewu, więc mniej go się boją. Czy ludzie robiący przewrót będą mieli konsekwencję i odwagę? W takiej jak obecnie sytuacji od każdego kroku zależy.

Poznałem Be[c]ka, gdy w końcu [19]18 roku zjawił się po przebijaniu się z od-działem przez Ukrainę w Lublinie. Pełnił poprzednio obowiązki wywiadowcy

w Moskwie i w Rumunii. Miał wtedy 19 lat [W przypisie poprawka: Józef Beck, ur. 1894, miał wówczas 24 lata]. Młody był bardzo. Pamiętam, jak opowiadał, dzięki jakiemu systemowi udało mu się przebrnąć przez rozbolszewizowaną Ukrainę. Mordowali wsie do nogi i palili przy każdym napotkanym fałszu. Własnoręcznie kolbą pracował. Ale od tego czasu przecież leżał (?) w obozie, by Ukrainę od Polski łatwiej było oderwać. Od tego czasu połowę życia spędzał w restauracjach i przy kieliszkach. Wprost jawnie widać, że nie miał czasu na pracę nad sobą, że o życiu państwowym wie niewiele [T. VII, s. 105-106 – 18.05.1926, czwartek].

I przejmujący zapis związany ze śmiercią Beka:

Miesiąc już od tego zdarzenia i nie mogę przyjść do siebie. Straciłem człowieka, z którym codziennie od czasów lubelskich praca mnie blisko związała. Dzień w dzień przy każdej czynności staje mi jego piękna postać w pamięci. Wprawdzie i jego ten szlachetny typ i tego wyrobionego

człowieka te ostatnie czasy wewnętrzne rozburzyły, wprawdzie chwilami miałem uczucie, że gdzieś nasz wzajemny lojalny stosunek się zrywa, górowało jednak dawno nabrane uczucie sympatii i wzajemnego poważania. Kariera syna trochę go oślepiła, ale z gestów, półsłówek częstych i zamysłów miałem już od dłuższego czasu uczucie, że odgrywa się w nim jakaś wewnętrzna tragedia.

Odgłosy prasy zagranicznej i szeroko powtarzane pogłoski o udziale syna w zabójstwie Zagórskiego i o życiu jego ponad stan i o ostrzeżeniach ze strony francuskiej, o podejrzaniach w stosunku do takiego kierownika spraw zagranicznych, musiały dojść i do niego. Na 3 dni przed śmiercią, gdyśmy rozmawiali o znajomym, który nagle umarł, wyrwał mu się okrzyk: „Co za szczęśliwy człowiek!”. Powiedział to z takim wyrazem twarzy, który utkwiał mi w pamięci. Na 4 dni przed śmiercią miał referat w Biurze Pracy Społecznej o potrzebie obywatelskiego czynnika w samorządzie. Rozwijając

temat, zacerwienił się i przejął tak mocno, krytykując tendencje zdławienia przez obecne rządy wszelkiej w społeczeństwie niezależnej myśli. Gdy 12 XII rano śmierć jego nastąpiła, tak jasną mi się stała cała skala uczuć, którą kochany przyjaciel przeszedł w ostatnich miesiącach. [T. VII, s. 116 – 17.01.1932, niedziela].

Konkludując i przytaczając tak znamienne opinie o naszym limanowskim luminarzu, gorąco namawiam wszystkie znaczące instytucje miasta i powiatu, by w stulecie Niepodległości, przywrócić zabytkową willę Bekówkę przy ul. Słonecznej 1 do jej należnej roli jako Muzeum Józefa Beka. Oczywiście, byłoby tam miejsce dla całej Rodziny Beków, a także dla prezentacji i debat dotyczących samorządu, co wiąże się z dorobkiem Józefa Beka, ofiarowanym Limanowej i co ma zasadnicze znaczenie dla przyszłości Polski. Miło mi dodać, że o tych sprawach pisałam już w 1990 roku na łamach „Życia Warszawy”. Jeśli nie teraz – to kiedy?

Józef Szymon Wroński

Najstarszy ilmanowski (limanowski) cmentarz przykościelny przyczyny jego likwidacji

Jeżeli wiemy mało na jakiś temat lub mamy niewiele informacji i przekazów archiwalnych w danym zakresie, pomocne stają się w tym przypadku nie tylko intuicja i dedukcja, lecz także badania interdyscyplinarne. Przyjrzyjmy się więc bliżej tym pojęciom (intuicja, dedukcja, badania interdyscyplinarne), gdyż one będą nam pomocne w badaniach nad najstarszym ilmanowskim (limanowskim) cmentarzem przykościelnym. A zatem intuicja to nie tylko przeczuć, zdolność przewidywania i twórcza wyobraźnia, lecz także rodzaj irracjonalnego poznania, polegającego na poczuciowym uchwyceniu prawdy¹. Dedukcja z kolei to wyprowadzanie sądów szczegółowych z sądów ogólnych, przechodzenie od ogółu do szczegółu². Natomiast badania interdyscyplinarne, jak sama nazwa wskazuje (łacińskie *inter* odpowiada polskiemu: między-, wśród-, współ-), dotyczą co najmniej dwu lub więcej dyscyplin naukowych, korzystają więc z dorobku kilku nauk³. Ponieważ o najstarszym cmentarzu parafialnym w Limanowej wiemy mało i niewiele mamy przekazów archiwalnych na jego temat, pomocne dla nas będą badania interdyscyplinarne z innych nauk, w tym przypadku badania polonistyczne, ściślej biorąc językoznawcze, antropologiczne (dział onomastyki), zajmujące się badaniem imion, nazwisk osobowych i sposobem ich tworzenia⁴.

Groby to kotwice naszej pamięci
(Jerzy Waldorff)

Wprowadzenie

Pierwszy kościół wilmanowski – ilmanowski ufundowali prawdopodobnie Słupscy tuż przed rokiem 1513. Około 1527 r. pieczę nad nim przejęli Jordanowie, którzy kościół doposażyli⁵. Zachowana do dnia dzisiejszego gotycka chrzcielnica z tego kościoła, datowana na rok 1527, jest łącznikiem *między starymi a nowymi laty*. To ona jest właściwie jedynym, chociaż niemym świadkiem, kogo przy niej ochrzczono i kogo pochowano, gdyż z biegiem lat zaczęto wokół kościoła grzebać zmarłych. I to nie tylko mieszczan, ale także włościan należących ►

▶ do parafii. Zaczęły się bowiem tworzyć zręby – początki cmentarza parafialnego. Ów ilmanowski cmentarz mieścił się na niewielkim, poświęconym obszarze, obejmując teren wokół kościoła. Było już na nim sporo mogił wówczas, gdy Ilmanowa w 1565 r. otrzymała od króla Zygmunta II Augusta z rodu Jagiellonów prawa miejskie.

Kto był tu pochowany z nazwiska, a raczej z imienia, bo taki był początkowo zwyczaj, że do imienia dopisywano określnik, skąd pochodził dany zmarły czy z miasta (np. Mytko Ilmanovita) czy ze wsi, przysiółka (np. Stanislaus de Bzdycka), dokładnie nie wiemy. Bo chociaż „pierwsze nazwiska [...] pojawiają się w XV w., a rozpowszechniają w XVI w.⁶”, to stary zwyczaj podawania imienia z przydomkiem (określeniem topograficznym), w szczególności do ludności wiejskiej, nie wymarł jeszcze w naszym miasteczku w 2. połowie XVI w. „Pierwsze księgi metrykalne – pisze mgr Adam Liszka – pojawiają się na początku XVII w. Ich prowadzenie rozpoczął ks. Jan Belczowicz, ówczesny proboszcz diecezjalny. Nie przetrwały one jednak do naszych czasów⁷. Pierwszy zachowany zapis metrykalny z ksiąg przypada na dzień 7 stycznia 1647 r.⁸ Natomiast już w pierwszej połowie XVII w., w zapisach metrykalnych parafii limanowskiej, występuje duża różnorodność nazwisk⁹. I tutaj właśnie w sukurs przychodzą nam owe badania interdyscyplinarne z zakresu onomastyki, a ściślej biorąc antroponomii.

Badania polonistyczne, dla nas historyków... interdyscyplinarne

Małgorzata Piszczek napisała w 1994 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim – na zakończenie swoich studiów polonistycznych – pracę magisterską pt. *Antroponimia Parafii Limanowskiej*. „Autorka postawiła sobie za cel – pisze Adam Liszka – opracowanie słownika nazwisk i imion znajdujących się w księgach metrykalnych parafii [limanowskiej] oraz dokonanie ich klasyfikacji znaczeniowo-słotwórczej. Duży nacisk położyła na wyjaśnienie etymologii poszczególnych nazwisk. W dwóch zasadniczych rozdziałach omówione zostały i sklasyfikowane nazwiska oraz imiona ludzi mieszkających w Limanowej i we wsiach należących do parafii limanowskiej¹⁰. Warto



Przy drugim, drewnianym limanowskim kościele widoczne nagrobki cmentarza przykościelnego

przytoczyć nazwiska najwcześniej pojawiające się w księgach metrykalnych (do pierwszej połowy XVII w., zawarte w słowniku przygotowanym przez mgr Małgorzatę Piszczek). A oto one: Abram, Bakalarczyk, Bakalarz, Bandyk, Batkowski, Bednarczyk, Bednarek, Biedroń, Bogacz, Borowski, Bujak, Bulanda, Cabała (Czabała), Chrzęstkowski, Cz(e)chowski, Czopek, Ćwik, Doliator, Dulęba, Florek, Gaboński, Gaworek, Głód, Golik, Górszczyk, Górski, Jadamczyk (Adamczyk), Jagiełło, Jeż, Jordan, Kalęba, Kądziołka, Kołodziejczyk, Kostrzewski, Kraczkowicz, Krzysztof, Kuna, Kurczab, Kuzarek, Laskowicz, Lisik, Łyszczarz, Matras, Mikołajczyk, Mól (Mol), Molitor, Mruk, Mytko, Niewiarowski, Paczkowski, Pałka, Pęczak, Piaskowicz, Plebanek, Poskrobek, Potrzeba, Rymarczyk, Sędzik, Sędzimir, Sowa, Sroka, Stanisz, Strózek, Szewczyk, Świętek, Tąta, Textoris, Topór, Trzeciecki, Włodyka, Wojak, Wojtas, Wójcik, Zajac, Żołędzik. W słowniku istnieje 1890 nazwisk, w tym 1728 – rodzimych, a 162 – pochodzenia obcego¹¹.

Wnioski

„Omawiana praca stanowi cenną pozycję źródłową dla mieszkańców Limanowej. Ułatwia ona bowiem w dużym stopniu badanie genealogii nazwisk parafian” – podkreśla Adam Liszka¹². Niewątpliwie tak jest i w dodatku pozwala przypuszczać, wydedukować, że właśnie przedstawiciele tych rodów (właściciele wymienionych nazwisk) i ich rodzin pochowani byli do 1. poł. XVII w. na starym, parafialnym, przykościelnym cmentarzu ilmanowskim (limanowskim). Czytając tę listę, przychodzi jeszcze jedna refleksja do głowy, że niektóre nazwiska są do dzisiaj w obiegu – żywotne, zachowały się po dzień dzisiejszy, a niektóre z nich odeszły; nie wiem, czy w niepamięć, ale niewątpliwie wraz ze śmiercią ich posiadaczy. Tę listę należałoby uzupełnić nazwiskami rodów ilmanowskich z 2. poł. XVII w. i wykazem rodzin, które doszły w XVIII w. i 1. poł. XIX w. Wówczas mielibyśmy zestaw mieszkańców Limanowej i parafii limanowskiej, którzy tutaj się urodzili, tutaj się żenili i tutaj umierali.

Kościół prowizoryczny



Prowizoryczna kaplica wybudowana z materiałów rozebranego w 1910 roku drewnianego kościoła. Kaplica znajdowała się przy ul. Szwedzkiej obok cmentarza parafialnego i służyła parafii do czasu ukończenia budowy nowej świątyni w 1918 roku.

Można ją uzupełnić przeglądając pracę M. Piszczek lub księgi: Liber Natorum – metрки chrztu, Liber Copulatorum – księgi małżeństw, Liber Mortuorum – księgi zmarłych¹³.

Edykt, dekret cesarza – likwidacja cmentarzy przykościelnych.

W związku z licznymi epidemiami i zarazami, jakie dziesiątkowały ludność miast, miasteczek i wiosek, cmentarze przykościelne – w myśl zarządzeń cesarza Józefa II z 11 grudnia 1783 r. (opublikowanego 21 stycznia 1784, a obowiązującego od 9 września 1784 r.) – *należało umiejscowić poza miastem*¹⁴. Należało je więc nie tylko zamykać, lecz po prostu likwidować. Sytuacja stała się więc dramatyczna. Ludność nie dawała wiary temu, ale odpowiednie służby administracji państwowej i miejscowej przynaglały do wypełnienia tego przepisane go zarządzeniem obowiązku¹⁵.

W Ilmanowej sytuacja o tyle była trudna, że po spaleniu się drewnianego kościoła w roku 1769, naruszona została również struktura przykościelnego cmentarza (część mogił została zniszczona). Przy budowie nowego kościoła, który stanął w stanie surowym w latach 1777-1779, część mogił trzeba było po prostu usunąć lub przenieść na inne miejsce, gdyż nowy kościół był znacznie większy od poprzedniego. Przeznaczono

więc część terenu tzw. ogrodu plebańskiego pod cmentarz. Teren ów był o tyle niekorzystny, że był pochyły i znacznie opadał, toteż przepływający obok ogrodu Potok Starowiejski, wzmocniony wodami Potoku Jabłonieckiego podczas wiosenno-letnich ulew, często go zalewał. Pisał o takiej dramatycznej sytuacji, jednej z wielu, Walenty Gawron: „W 1813 r. deszcz padał przez 15 dni [pół miesiąca]. Potok Starowiejski tak wylał, że wody zagrażały kościołowi limanowskiemu [...]. W tym czasie wezbrane fale wód uniosły kości nieboszczyków z cmentarza znajdującego się koło kościoła parafialnego”¹⁶. Miejscowe podanie głosi, że wody wymyły wówczas wiele trumien, między innymi trumnę pani dworu – heretyczki i poniosły ją hen w daleki świat.

Sytuacja stawała się naprawdę dramatyczna. Powstało zagrożenie epidemiologiczne, mówiąc językiem współczesnym. Zaczęto pospiesznie poszukiwać odpowiedniego terenu pod cmentarz, położonego poza miastem i znacznie uniesionego nad potokiem, by nie istniało zagrożenie wylewami i zalaniem cmentarza. Taki plac wskazano poza miastem. Był on wprawdzie umiejscowiony pomiędzy dwoma potokami: Starowiejskim i Mordarką, ale na tyle wyniesiony ponad poziom owych niegroźnych podczas letnich susz strumyków, które

podczas ulew zamieniały się w rwące, groźne potoki, że nie był zagrożony zalaniem.

Powstawanie nowego cmentarza

Obowiązek założenia nowego cmentarza spadł na barki ks. Szczepana Duszyńskiego (1737-1803), który zajęty budową nowego kościoła, a raczej jego wyposażeniem, nie kwapił się zbyt, by tę sprawę wziąć od razu w swoje ręce, mimo że był ponaglany przez administrację lokalną i państwową. Administracja kościelna była w tym względzie bardziej wyrozumiała, mając na uwadze jego priorytetowe zadanie, jakim było zarządzanie kościoła. Ale czy za względami higienicznymi i sanitarnymi, wyrażonymi w dekreście cesarza, nie kryje się jeszcze znacznie głębsza myśl wyrażona trafnie przez Jerzego Waldorffa, że *groby to kotwice naszej pamięci*. Usunąć groby, a wówczas, co stanie się z naszą pamięcią?

Znalezione i wskazany teren pod cmentarz został przygotowany na przełomie 1799/1800 r. zgodnie z decyzją administracji państwowej. Proboszcz Szczepan Duszyński wystawił na nim drewnianą kaplicę pw. św. Krzyża i uzyskał dla niej nawet przywilej celebracji Mszy św., co miało przekonać nieskorych do grzebania tam swoich krewnych parafian, że ziemia ta święta jest. Miało to działać motywująco, nie wystarczyło jednak. Jego następca, ks. Jan (z Mathy) Duszyński (1774-1837), proboszcz od 16 marca 1804 r., zajęty był doposażeniem nowego kościoła, który z dnia na dzień piękniał i tworzył ze starymi mogiłami, ale przede wszystkim wiernymi, którzy wypełniali kościół, nie tylko wspaniałą modlitewną atmosferę, ale *wspólnotę żywych i umarłych*, co przyzwalało w dalszym ciągu na grzebanie zmarłych na starym cmentarzu przy nowym kościele. Dopiero powódź roku 1813 przynagliła i przyspieszyła rozwój zdarzeń, czyli pochówki poza miastem. Jednak nikt z obywateli nie chciał być tam grzebany. Jedyne biedota miejska i ludność wiejska (Sowlin, Starej Wsi, Mordarki, Lipowego i Jabłońca) godziła się na to, chociaż i oni, mając groby przykościelne, tu grzebali swoich najbliższych. Pierwszymi prawdopodobnie, którzy pochowani zostali na nowym cmentarzu, były ofiary nieszczęśliwych wypadków, zabójstw i samobójstw. Drewniana kaplica cmentarna ▶

► z czasem zmurszała, co świadczy o tym, że musiała być wystawiona z lichego materiału, dlatego proboszcz Jan (z Mathy) Duszyński wystawił jeszcze przed 1832 r. nową kaplicę. Istniały więc wówczas w Limanowej dwa cmentarze: stary przykościelny i nowy poza miastem, nad brzegiem potoku, który z czasem nazwany był „Pod Siwym Brzegiem”.

Dopiero ks. Jan Warpęcha (1806-1877), który objął probostwo 12 lipca 1837 r., zamknął praktycznie cmentarz przykościelny, a na nowym wystawił w 1859 r. *ossarium* – kostnicę, by do niej, zgodnie z rzymską zasadą cesarza Augusta *festina lente*, a więc nie spiesząc się, powoli przenosić kości zmarłych wiernych. Nie znaczy to jednak, że nie zdarzały się jeszcze sporadycznie pochówki na starym, przykościelnym cmentarzu. Ten przykościelny cmentarz zamknięto definitywnie dopiero wraz z przybyciem ks. Kazimierza Łazarskiego, który od 6 lipca 1889 był administratorem, a od 11 listopada 1890 został proboszczem parafii.

Wybudował on w 1894 r. na nowym cmentarzu nową, obszerną kaplicę¹⁷. Stary przykościelny cmentarz, przed przystąpieniem do budowy nowego, okazałego, monumentalnego kościoła ekshumowano¹⁸ i definitywnie zlikwidowano. Na jednym ze zdjęć, wykonanym przed rozbiórką starego kościoła, na placu przykościelnym widać jeszcze krzyż, pochodzący z ekshumowanego grobu. Przy cmentarzu, wzdłuż drogi (przy obecnej ul. Szwedzkiej) ks. Kazimierz Łazarski zakupił grunt i zbudował w 1905 r. tzw.

szpital – przytułek dla bezdomnych (wcześniej mieścił się on przy trakcie obwodowym miasteczka (dzisiejsza ul. ks. Ludwika Kowalskiego), a ok. 1910/11 tymczasową kaplicę drewnianą.

Podsumowanie

Podsumowując trzeba powiedzieć, iż limanowski cmentarz parafialny, położony pomiędzy obecną ul. Szwedzką, a ul. ks. Kazimierza Łazarskiego, po likwidacji cmentarza wokół kościoła, która nastąpiła przed przystąpieniem do budowy nowego, murowanego, monumentalnego kościoła, trzeciego już na tym miejscu, dzisiaj znacznej bazyliki limanowskiej, jest teraz niewątpliwie najstarszą nekropolią w mieście.

Czy pozostał jakiś widomy ślad, że wokół kościoła istniał przed ponad stu laty cmentarz? Bezpośrednio tego nie widać, gdyż groby zostały ekshumowane, teren nadsypany, znacznie podniesiony i otoczony kamiennymi skarpami. Są jednak wyraźne nawiązania: w podcieniu kościoła znajduje się grobowiec, z pamiątkową płytą epitafijną – pomnikiem, ks. prał. Kazimierza Łazarskiego, w narożniku podcienia mieści się mini-mauzoleum bp. Piotra Bednarczyka, a na ścianach podcienia wiszą tablice epitafijne, poświęcone księżom: ks. prał. dr. Ludwikowi Kowalskiemu, ks. kan. Janowi Rachwałowi, ks. ppłk. Józefowi Jońcowi oraz tablice przypominające nazwiska bohaterów pomordowanych na Ziemi Limanowskiej, w Katyniu i innych jeszcze miejscach kaźni¹⁹.

¹ Słownik Wyrazów Obcych PWN, red. naukowy doc. dr Jan Tokarski, Warszawa 1971, s. 314.

² Tamże, s. 135.

³ Tamże, s. 310.

⁴ Tamże, s. 528, 37.

⁵ Pierwszym właścicielem miasteczka z rodu Jordanów był Achacy z Zakliczyna. Zob. Józef Szymon Wroński *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Kościół-Pomnik Konstytucji 3 Maja*, Limanowa 2001, s. 31.

⁶ Mgr Adam Liszka, *Antroponimia parafii limanowskiej*, MD, R.XXIII:1999, nr 1 (56), Styczeń-Marzec, s. 41.

⁷ Tamże, s. 40.

⁸ Tamże.

⁹ Tamże, s. 41.

¹⁰ Tamże, s. 39-40.

¹¹ Tamże, s. 41.

¹² Tamże.

¹³ Tamże, s. 40.

¹⁴ Karol Wojtas, *III Spacer Historyczny po Limanowej*, EL, R.XXVI:2018, nr 280-281, (Styczeń-Luty), s.15.

¹⁵ *Zarządzenie władz austriackich z 12. VIII1788 r.* wg Księgi Liber, Archiwum Parafialne w Limanowej.

¹⁶ Walenty Gawron, *Dawna Limanowa*, MD, R.XX:1997, nr 1 (48), Styczeń-Marzec, s. 24.

¹⁷ J.Sz. Wroński, *Kaplica-mauzoleum na cmentarzu Parafialnym w Limanowej*, EL, R.IX:2001/2002, nr 89/90, (Grudzień-Styczeń), s. 28; tenże, *Pomniki i epitafia w kaplicy-mauzoleum (Rodziny Marsów na Cmentarzu Parafialnym...)*, EL, R.XXII:2014, nr 240-241, (Wrzesień-Październik), s. 20-22.

¹⁸ Antoni Mamak (pisze: Ojciec „wielokrotnie potwarzał nam, że szczątki ludzkie z przykościelnego cmentarza zostały zebrane, złożone do drewnianych skrzyń i umieszczone głęboko pod posadzką podziemia naszej obecnej bazyliki”), *O wszystkim po trochu*, EL, R.XXVI:2018, nr 284-285 (Maj-Czerwiec), s. 13.

¹⁹ J.Sz. Wroński, *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej*, op. cit., s. 97-100.

Stanisław Jacek Kołodziejczyk

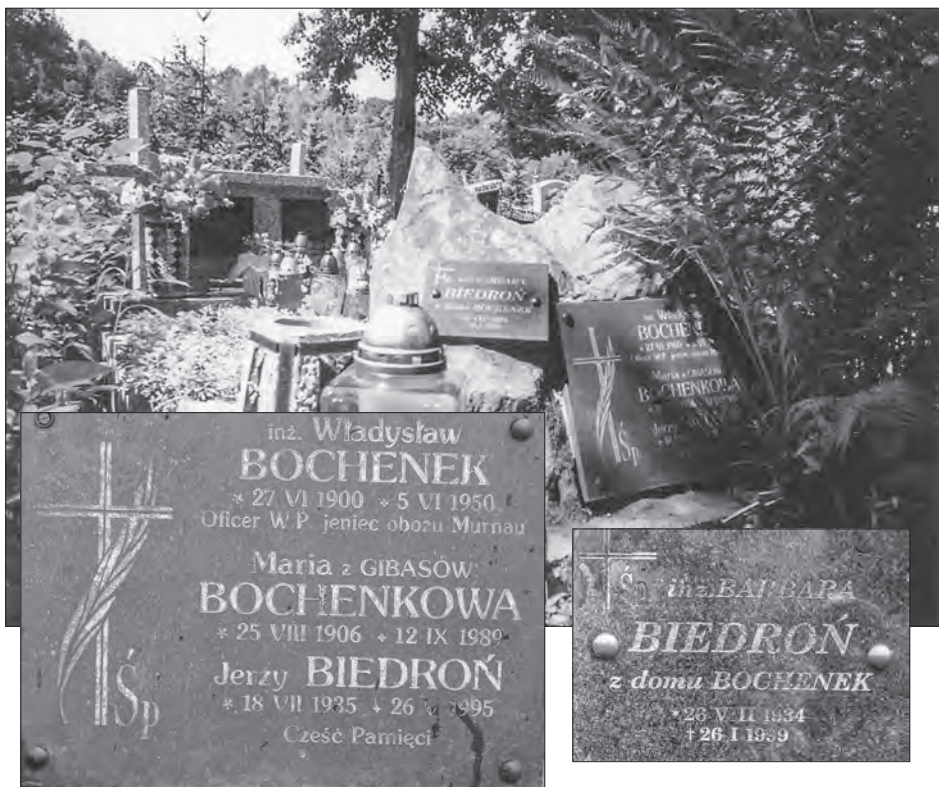
Władysław Bochenek, inżynier agronom – limanowianin z wyboru

„Nie można żyć, nie opowiedziawszy
sobie o swojej przeszłości”
Andrzej Wajda¹

Urodzony 18 czerwca 1900 roku w Bogucicach koło Wieliczki, zmarł w Bystrej Śląskiej 5 czerwca 1950 w sanatorium przeciwgruźliczym, przez lata zmagając się ze śmiertelną chorobą. 9 czerwca 1950 r. spoczął na starym cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Krótkie, przepełnione aktywnością życie mojego wuja jest właściwie symboliczną figurą dramatycznych, a często tragicznych losów jego pokolenia. Jednocześnie pokolenia naszych rodziców, krewnych i powinowatych. Dla nich lata 1939-1945 to ostateczna cezura historii oraz czas apokalipsy i zagłady Tamtego Świata. Wytęsknionej, wywalczonej i na krótko odrodzonej po 1918 roku Polski.

Rzecz niniejsza została wydobyta i zebrana z ocalałych dokumentów, na podstawie przekazów i opowieści rodzinnych². Ze względu na niedostatek kwerend, częstą ułomność zgromadzonych danych biograficznych, ostatnio została poddana kolejnej ocenie. Tworząc przed laty niniejszy tekst, który miał być próbą życiorysu Władysława Bochenka, wielokrotnie doznawałem i nadal dziś odczuwam poczucia bezradności. Tyle w życiu mego wuja „białych plam” i zagadek nadal nierozwiązanych dla piszącego. Dlatego w tym tekście poświęcam równolegle wiele uwagi i miejsca gronu najbliższych osób wuja Władysława a szczególnie Dziadkowi Piotrowi Bochenkowi. Stąd moja decyzja o przyjęciu formy „opowieści rodzinnej”. Usprawiedliwieniem niechaj będzie dla autora oraz niniejszej opowieści następująca opinia, wzięta od Czesława Miłosza: „Jeżeli wasza pamięć zdoła wyrwać choć cząstkę z otchłani tego co było, to już dobrze”³.



Władysław Bochenek (1900-1950)

Dziesiąta rocznica mojej pierwszej wyprawy genealogiczno-rodzinnej do Limanowej wypadła na dzień 30 czerwca 2018 r. w sobotę. To miał być dla mnie ważny, zapewne nostalgiczny moment. Tamten dzień sprzed 10-ciu laty, wypadł w poniedziałek. Było słonecznie i upalnie. Przybyłem do Limanowej porankiem i skierowałem się w stronę cmentarza w poszukiwaniu mogiły Bochenków – grobu mego zapomnianego wuja i chrzestnego ojca Władysława, najstarszego brata Mamy. Ale także w poszukiwaniu śladów aktywności wuja w miasteczku nad Mordarką. Wiodła mnie wówczas Ręka Bożej Opatrzności, gdyż rezultaty tamtej wyprawy okazały się nadspodziewane. Odnalazłem z pomocą życzliwych osób grób Bochenków (wuja Władysława). Poznałem Krystynę z Łąckich Gibasową 1^o Długosową 2^o – odtąd już dla mnie Kochaną Ciocię Powinowatą, a przez nią wkrótce Wuja Profesora Tadeusza Gibasa: rodzzonego brata Maryli (Marii) Bochenkowej – żony Władysława. Dokonałem doraźnej,

ale jakże dzisiaj ważnej(!) inwentaryzacji odnalezionego grobu (opis, rysunek, odpis treści tablic oraz zdjęcia). W ten sposób – pro – memoria – utrwaliłem stan nagrobka. Grobu o ciekawej formie memorium z okazałym głazem i tabliczkami oraz zadbaną kompozycją zieleni (paproci). No i... po 50-ciu latach wyprawiłem się „per pedes apostolorum” do Starej Mordarki na Polną 1, na podworską resztówkę, aby odwiedzić kuzynkę Linę. Celina Bochenkówna, moja rówieśnica to młodsza córka wuja Władysława. Była już poważnie skłopotana na zdrowiu, ale w ożywionej rozmowie wspominała naszą wspólną ciocię zakonnice Helenę Teofanę i mego brata Lecha. Jej trudna egzystencja w starym „Murowańcu” wspólnie z trzema dorosłymi siostrzeńcami – hodowcami bydła – wywierała smutny obraz. Zapamiętałem Rysia Biedronia, chłopca o dużej wrażliwości, jednego z czterech wnuków wuja Bochenka. Wspomnienia o nim noszę dotąd w sercu. I tak wówczas rozpoczęła się „epoka” moich terenowych poszukiwań oraz badań genealogicznych

nad Rodziną. Tymczasem życie inaczej pisze aktualne scenariusze. Przed planowaną okrągłą rocznicą pionierskiej wyprawy limanowskiej z 2008 roku, napłynęły alarmujące informacje o zlikwidowaniu na starym cmentarzu pierwotnego nagrobka z mogiły rodzinnej Bochenków, a także o dokonanym miesiąc wcześniej (w maju br.) pochówku obcej osoby tamże. Kiedy 28 czerwca tr. już po rozmowie z księżmi w kancelarii parafii MB Bolesnej w Limanowej udałem się na miejsce dawnej mogiły Bochenków – był to już prawdziwie ostatni moment istnienia prowizorycznie zestawionego starego nagrobka. Leżał jeszcze oryginalny głaz nagrobkowy, odarty z pierwotnych tablic, a kamienne monolityczne boki pozorowały całość. Wieczorem tego dnia nagrobek został ostatecznie rozebrany. Wracałem do domu z ciężkim sercem. Jestem długoletnim społecznym konserwatorem zabytków Krakowa. Od dziesięcioleci, gdy tylko mogę, kwestuję na ratunek Cmentarza Rakowickiego. Stąd mam szczególną świadomość, każdej straty ponoszonej przez zabytkowy limanowski cmentarz. A tym bardziej z utraty cząstki historyczno-rodzinnej ▶

► i materialnej, na przykładzie pierwotnej mogiły Bochenków – wuja Władysława. Grobu przecież wpisano w przestrzeń starej nekropoli. Myślę ze smutkiem, iż wkrótce przy braku troski, na tysiącach cmentarzy w Polsce, zapanuje jeden, wszechobecny obraz: grobów z wypolerowanych drogich granitów – bezdusznym, bezstylowym (dominuje kicz). Albowiem takie mamy dziś estetyczne zapotrzebowanie – taki gust, taką „modę”! I przez to właśnie umierają nam ostatnie stare cmentarze. A były dotąd zapisem historii, tekstem oraz świadectwem kultury w rodzinnym krajobrazie.

Niechaj mi stały Czytelnik „Echa Limanowskiego” wybaczy tę melancholię, która płynie z powyższych refleksji. Liczę, iż z wyrozumiałością przeczyta oraz przyjmie ten, być może ostatni już tekst miłośnika Krakowa, ale także urokliwej Limanowej. Zawdzięczam tę możliwość Zaczemu Redaktorowi Stanisławowi Ociepcie, którego zasługi jako uznanego regionalisty, ale przede wszystkim obrońcy oraz Strażnika Pamięci ludzi i Miasta Umiłowanego, trudno wyrazić w jednym zdaniu.

I po tym wprowadzeniu przechodzę do opowieści rodzinnej o Wuju Władysławie Bochenku.

Był najstarszym synem Piotra Bochenka i Józefy z Jaworskich. Bochenkowie, ród nasz po stronie przodków wuja Władysława, zamieszkiwali Lednicę Górną, rozległą osadę przedmiejską położoną na wschód od Wieliczki. Istniała tam bardzo silna tradycja zawodów elitarnych: górników salinarnych oraz kolejarzy c. k. kolei państwowych. Ponadto istniała tutaj znana kolonia niemieckich osadników, tzw. Lednica Niemiecka, górników i urzędników salinarnych sprowadzonych jeszcze w 2 poł. XVIII w. z Saksonii. Owi osadnicy byli już w sto lat później całkowicie spolonizowani i sfraternizowani z miejscowymi. Jako bracia w wierze chrześcijańskiej, należeli do gminy wyznaniowej ewangelików – luteran. Jednak małżeństwa mieszane, związki z katolikami, były przed rokiem 1900 dosyć częste.

Tak więc „z dziada – pradziada” Bochenkowie zaliczali się do grupy społecznej uprzywilejowanej zawodowo i socjalnie. Mówiono, że „każdy kto idzie na kolej, to prawdziwie mądre dziecko szczęścia”. Konduktorami kolejowymi byli Józef Bochenek (dziadek Władysława), jego ojciec Piotr (mój dziadek), zaś stryj Józef był mistrzem szlaku (nadzorcą).



Piotr Bochenek, senior rodu (ojciec Władysława)

Jan Bochenek, najstarszy brat Piotra był sztygarem salinarnym, zaś po ukończeniu służby zawodowej – pełnił, dzięki odcytaniu i erudycji oraz świetnej znajomości języka niemieckiego, funkcję przewodnika po wielickiej kopalni (...).

Ślub Piotra Bochenka z Józefą Jaworską odbył się w Wieliczce, w kościele farym św. Klemensa w lipcu 1898 roku. Małżeństwo dziadka zaowocuje wkrótce awansem stanowiskowym na kolei oraz służbowym przeniesieniem wraz z rodziną do Dębicy. Ale jeszcze w czerwcu 1900 r. rodzi się w Bogucicach Władysław. I właśnie urokliwa Dębica nad Wisłoką stanie się dla rodziny młodego, ambitnego kolejarza „małą ojczyzną” na dwa najbliższe dziesięciolecia XX wieku. Tam właśnie urodzą się kolejno, po Władysławie: Eugeniusz (1902), Zofia (1905), Helena Kazimiera (1907) a także – dużo później – najmłodszy z Bochenków Antoni Robert (1916) jako syn Piotra z jego trzeciego małżeństwa (...).

W latach 1906 – 1910 „Władek” uczęszczał do szkoły ludowej 5-cio klasowej. Od roku szkolnego 1910/11 Bochenek Władysław Józef (używał dwa imiona) był studentem (czyli uczniem szkoły średniej) c. k. gimnazjum Franciszka Józefa w Dębicy (...).

Nadchodzi rok 1914. Wybucho Wielka Wojna. Cesarsko – królewska kolej monarchii zostaje zmilitaryzowana i podlega prawom wojennym. Wobec załamania się frontu we Wschodniej Galicji dziadek Piotr (już wcześniej awansowany na nadkonduktora – odpowiednik kierownika pociągu) otrzymuje rozkaz przeprowadzenia ewakuacji rodzin kolejowych oraz urzędników z Dębicy i okolic.

Z relacji mojej ciotki Heleny Dziewońskiej z Bochenków wynikało, iż „ewakuacja rodzin kolejarzy i urzędników z Dębicy i okolicznych miejscowości nastąpiła we wrześniu 1914 roku. Jechaliśmy wagonami towarowymi przez okres 2 tygodni przez Czechy do Wiednia. Stamtąd przez Braunau i Linz do Górnej Austrii, gdzie dotarliśmy do miejscowości Mattúckhoffen (wspomina ciotka Dziewońska). W momencie ewakuacji Władek miał 14 lat. W Mattúckhoffen pozostawaliśmy aż do połowy 1916 roku, kiedy nastąpił powrót do kraju, do Dębicy. Po powrocie okazało się, jak ogromne zniszczenie wojenne poczyniła jesienna ofensywa Rosjan pod Kraków. Dom nasz był kompletnie zdewastowany, wyposażenie rozkradzione, mieszkanie – pokoje zdemolowane a zasobne piwnice stryja Piotra całkowicie wyrabowane” (...).

Nadchodzi rok 1918, ostatni dramatyczny i decydujący rok Wielkiej Wojny. W maju, tuż w okolicach matury w gimnazjum w Dębicy, Władysław nagle zaskakuje wszystkich domowników lakoniczną wiadomością pozostawioną na kartce: „poszedłem do polskiego wojska”. Jedyną osobą, która mogła mi coś bliższego opowiedzieć na ten temat, okazała się ciotka Dziewońska. Oto jej słowa: *Zaraz po maturze (?) Władek wraz z 5-ma kolegami z Dębicy uciekł z domu i zgłosił się do Legionów we Lwowie. Zostawił wiadomość: „wyjechałem do wojska”. Stryj Bochenek się zmartwił, ale nie rozpaczał. Początkowo Władek przebywał pod Lwowem w miejscowości Bolesławów a w jesieni, w okresie odzyskiwania Niepodległości we Lwowie. Kiedy wybuchły walki z Ukraińcami, tam przeżył polską obronę Lwowa roku 1918. Kiedy w grudniu Lwów został odblokowany i była już przywrócona komunikacja kolejowa, dostałam wiadomość „z drugiej ręki”, że Władek i legionści cierpią głód. Zabiliśmy swinię, sporządziliśmy porcję mięsa i wędliny i z tym prowiantem Stryj Piotr wysłał mnie, z końcem grudnia pociągiem do Lwowa. Była już zima, pannał mróz i leżał śnieg. Na szczęście koszary znajdowały się blisko dworca, skąd dotarłam pieszo, taskając zapasy. Po odszukaniu Władka i powitaniu – największą jego radość była na widok przywiezionych prowiantów!” (...).*

Po wojnie polsko-bolszewickiej nadchodzą w pełni wyteśczone lata Odrodzonej Polski. W Dębicy staje rodzinny projekt, aby wuj Władek, po wojsku udał się na studia do Krakowa. Dziadek od 1916 roku jest spadkobiercą znacznej



Ślub Marii z Gibasów z Władysławem Bochenkiem w Kaplicy Łaski w Mordarce



Przyjęcie weselne we dworze w Mordarce. Na pierwszym planie ks. prałat Kazimierz Łazarski. Fotografie z 1933 roku

części majątku po swej pierwszej żonie Józefie z Jaworskich. W roku 1917 dokupuje kolejne dwie piękne parcele, w bliskości stacji Wieliczka. Tworzy kilku morgową całość, odnośnie której snuje ambitne plany na przyszłość. W marcu 1921 r. Władysław Bochenek zostaje zdemobilizowany i wkrótce zapisuje się na studia rolnicze w Uniwersytecie Jagiellońskim (...).

Tak więc w roku akademickim 1921/22 Władysław rozpoczął studia uniwersyteckie i z tymczasowego zamieszkania Bochenków „u Janiszów” dojeżdżał pociągiem z Wieliczki do nieodległego Krakowa na zajęcia (...). 15 lipca 1925 roku Władysław Bochenek, na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego zdał komisyjny końcowy egzamin i po złożeniu pracy egzaminacyjnej uznanej za wystarczającą uzyskał prawo do otrzymania niższego stopnia naukowego (...).

Wuj Władysław opuszcza Wieliczkę w 1925 roku z dyplomem inż. agronoma i wyjeżdża na obowiązkowe praktyki rolnicze. Odbywa je w majątkach ziemskich w województwie wołyńskim na Kresach. I tutaj, wobec braku jakichkolwiek dokumentów i relacji z okresu do 1939 roku, zdany zostałem na trudne domysły odnośnie dalszych lat życia oraz aktywności młodego agronoma, ale... nie bezradny! Bo oto dokładnie przed dziesięciu laty, 20 sierpnia 2008 roku poznałem w Limanowej Wuję Profesora Tadeusza Gibasa⁴, którego bratowa Ciocia Krystyna przedstawiła mi jako siostrzeńca i chrześniaka

Władysława Bochenka. Ostatni z żyjących Gibasów sędziwy Wuj Profesor okazał mi niezmierną życzliwość. Pomimo 86 lat, cieszył się jeszcze zdrowiem, jasnością umysłu i zadziwiającą pamięcią. Owocem tamtego spotkania i rozmów stały się, wręcz przełomowe informacje na temat mego wuja Władysława. Przede wszystkim rozpoznał osoby na zdjęciach grupowych wykonanych 30 i 31 grudnia 1933 roku w Mordarce – dworze, z racji ślubu i wesela mego wuja Władka. Dwa spośród nich pochodzą z rodzinnego albumu Bochenkówki.

Szczególnie cenne okazały się wspomnienia oraz informacje dopełnienia mego Rozmówcy (...). Najcenniejsze dla tematu niniejszej opowieści okazały się informacje Wuję Powinowatego odnośnie mego wujostwa Bochenków: Marii(Maryli) z Gibasów – starszej siostry Tadeusza Gibasa i Władysława Józefa – inżyniera agronoma. Otóż wkrótce po ślubie wuj Władysław wraz z żoną Marylą przenieśli się na Wołyń i osiedlili w Sarnach, mieście powiatowym (stolicy rozległego rolniczego powiatu), gdzie wujek był przez dwa lata „na posadzie w starostwie” (określenie Wuję Profesora) – chodzi zapewne o stanowisko, tzw. „inżyniera powiatowego”. W Sarnach przyszła na świat w sierpniu 1934 roku Basia Bochenkówna. Następne lata Bochenkowie spędzili w Łucku – stolicy województwa wołyńskiego. Wujek miał tam bardziej prominentną posadę (określenie Wuję Tadeusza) – zapewne

stanowisko w urzędzie wojewody, a także mieszkanie służbowe. To właśnie z Łucka przyjeżdżali Bochenkowie do Mordarki na wakacje – urlop.

Powyższe informacje wprawiły mnie w zdumienie nad żalonym stanem rodzinnej niewiedzy w Wieliczce. Przez dziesiątki lat pokutowało w mojej głowie przekonanie (nie chcę winić mamy), że wujek Władysław był „inżynierem powiatowym” w starostwie w Limanowej (!) I z tą ignorancją przyjechałem pamiętnego 30 czerwca 2008 do miasta nad Mordarką.

Kolejny raz powracam do wuja Władysława, a ściślej do próby rekonstrukcji wołyńskiego okresu w życiu mego przyszłego ojca chrzestnego. Jak już wspominałem, od 1925 roku młody inżynier agronom odbywał praktyki i staże rolnicze w majątkach ziemskich na Wołyniu. Ale zdobywanie doświadczeń podyplomowych nie trwało zapewne dłużej niż dwa, trzy lata. A zatem, już około 1928 roku (lub wcześniej), powinien był otrzymać pierwszą posadę, co przy ówczesnym dręczącym braku wykształconych kadr na Kresach, nie mogło być trudne. Ale nic pewnego nie wiemy. Nie sadzę, aby wuj zadawałałby się prostym administrowaniem majątkami, gdzieś w zapadłym zakątku Wołynia. Z przekazów rodzinnych wiemy, że Władysław posiadał cechy przywódcze, był typem państwowca, pragnął działać dla kraju przy jego odbudowie. Był legionista, obrońca Lwowa, uczestnik zmagania z naporem bolszewicko – sowieckim. W roku ▶

▶ 1920 był jednym z tysięcy najmłodszych obrońców Polski i wraz z nimi nadzieją na jej przyszłość. Stąd dekret Naczelnika Państwa zapewniający pierwszeństwo wstępu na studia akademickie, a także inne preferencje. Dlatego dla tych setek młodych, w tym i dla wuja Bochenka pojawiła się perspektywa przy budowie „polskiego Wołynia” (...).

Kolejne moje przypuszczenie, wiąże się z drogą, jaka przywiodła mego Wuja z Sarn do Mordarki pod Limanową. Drogą tą mogła się okazać znajomość z przyszłym teściem Izydorem Gibasem, prawnikiem, mężem dziedziczki majątku Mordarka, wysokim urzędnikiem Ministerstwa Robót Publicznych w Warszawie. Sądzę z przekonaniem, iż wuj Bochenek mógł poznać ojca przyszłej żony podczas służby państwowej na Wołyniu. Być może, iż w trakcie jednego z urlopów wuj Władysław przyjechał na zaproszenie do Mordarki, gdzie w pięknym dworze polskim z XVIII wieku (dodatkowo rozbudowanym w okresie międzywojnia na pensjonat letniskowy) poznał swoją żonę Marylę Gibasównę oraz całą rodzinę Gibasów.

Ślub wuja Władysława Józefa z Marią Ludwiką Gibasówną, najstarszą z córek Izydora Gibasa oraz Władysławy z Sitowskich był ostatnim, jaki wypadł w Roku Pańskim 1933, a zapisany w Księgach Parafii Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Odbył się zgodnie z tradycją dworską w Mordarce w Kaplicy Łaski 30 grudnia w przedostatnim dniu Starego Roku. Sakramentu małżeństwa udzielił ks. prałat Kazimierz Łazarski – legendarny budowniczy obecnej bazyliki, proboszcz limanowski, przyjaciel dworu w Mordarce. Jak już wcześniej wspominałem w uroczystościach weselnych uczestniczyły również obie siostry Władysława – Bochenkówny: Zofia (moja przyszła mama) i Helena (moja ukochana ciocia, przyszła Zmartwychwstanka).

Na zdjęciach z weselnych uroczystości w Mordarce 30 i 31 grudnia 1933 roku, wyróżnia się spośród gości postać wojskowego w mundurze oficera Wojska Polskiego, w osobie tej rozpoznaję świadka ślubu i druha weselnego, Michała Woźniaka, przyjaciela domu na Bochenkówce od czasów akademickich, a późniejszego (do końca lat 60. XX wieku) docenta w Katedrze i Zakładzie Chemii na AGH w Krakowie.

O przebiegu państwowej służby Władysława w urzędzie Wojewody



Władysław Bochenek z córką Barbarą

Wołyńskiego nic nie wiemy. Natomiast możemy przyjąć z pewnością (fotografie), iż Maryla Bochenkówna z malutką córeczką Basią, często zwłaszcza w letnie wakacje, odwiedzała rodzinny dom (...). Bywał także we dworze w Mordarce wuj Władysław.

Powszechna wojenna mobilizacja 1 września 1939 roku, nie zastała na szczęście młodych Bochenków na Wołyniu. Przypuszczalnie ostatnie wakacje zatrzymały w Mordarce wujenkę Marylę i jej córeczkę. A Władysław Bochenek, podobnie jak wszyscy w naszych rodzinach zmobilizowani mężczyźni, jako oficer wyrusza ze swoją jednostką na wojnę. Gdzieś w centralnej Polsce dostaje się do niemieckiej niewoli, podobnie jak po bitwie nad Bzurą, trafia do niej najmłodszy brat Antoś. A na Pomorzu, w bezlitosnym kotle jednostek Wehrmachtu, kapitułuje wraz ze swoim pułkiem kapitan Antoni Berger. Dziwnym zbiegiem obaj – zarówno mój przyszły Teść, jak i wuj Władysław, trafiają późną jesienią 39 r. do oflagu Murnau pod Monachium w Bawarii, owego później słynnego obozu jenieckiego dla polskich oficerów. Nieodmiennie powraca refleksja. Gdyby ich jednostki ogarnęli Sowici po 17 września – zapewne podzieliliby los pojmanyh oficerów z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Wówczas po tej, najstraszliwszej z wojen światowych, nie narodziłyby się: w Mordarce Celina (Lina) Bochenkówna w 1946, a w Krakowie Elżbieta Bergerówna w 1947, moja żona. Wstrząsające arcydzieło – film Andrzeja Wajdy „Katyn” niechaj stale przypomina młodym pokoleniom tę potworną zbrodnię stalinowsko – sowieckiego ludobójstwa.

Słynny oflag Murnau posiada swoją literaturę. Losy oraz przeżycia zgromadzonych tam, przez 5,5 roku w niewoli oficerów polskich (często wysokiej rangi), były dla wielu piekłem – upokorzonych klęską września 1939 roku. Stąd częsta „choroba drutów”, gdy zdesperowani ginęli od kul esesmańskich wartowników, idąc na nie świadomie. Tamte przeżycia pozostawiały na tych, którzy przeżyli Murnau ślady niezatarte. Zapamiętałem z początku lat 70. ub. wieku mego śp. Teścia zamkniętym w sobie i nerwowym w reakcjach. Ten prawdziwy Żołnierz Niepodległości, zawodowy oficer Międzywojnia Rzeczypospolitej z rycerskim etosem czuł się fatalnie po 1945 roku w latach pogardy dla wszelkich zasad. Podobnie wspominali gwałtowność zachowania mego wuja rodzice, gdy przyjeżdżał z Basią do Myślenic. Jest pewne, że zarówno wuj Bochenek, jak i mój teść doświadczyli skutków obozowej traumy do końca życia.

Ostatnim ważnym rodzinnym wydarzeniem na Mordarce, przed tragicznym momentem ostatecznej zagłady piękniego dworu Sitowskich – Gibasów w styczniu 1945 roku, były uroczystości związane ze ślubem młodszej siostry Maryli Bochenkówny, Zofii Ludwiki (Ziuny) Gibasówny. Wyszła ona za Edwarda Merkowskiego doktora medycyny znane go i cenionego kardiologa. Ślub ten wypadł jesienią 1943 roku, w ciemną noc hitlerowskiej okupacji. Małżeństwo zostało zawarte zgodnie z utrwaloną tradycją dworską w Kaplicy Łaski i na prawach kanonicznej delegacji. Ślubu udzielił im ksiądz Jan Rachwał. Spotkanie weselne odbyło się w pobliskim dworze. Zachowały się z tej uroczystości grupowe zdjęcia wykonane na tle kameralnej ogrodowej elewacji dworu. Na ujawnionych w 2009 roku fotografiach rozpoznajemy ze zdumieniem obojga wujostwa Bochenków: Marylę i Władysława stojących w grupie ze śliczną „panienką” – córką Basią.

Zdumienie i niedowierzanie autora niniejszej opowieści o wuju Władysławie zbiegło się i spotęgowało jesienią roku 2011 z inną nieznaną dotąd nam informacją, która wówczas wypłynęła. To już była wiadomość wręcz sensacyjna! Dotyczyła ona wcześniejszego zwolnienia wuja Bochenka z oflagu oficerów polskich w Murnau ze względu na ciężko zaawansowaną gruźlicę. Nie miejsce tutaj na obszerne cytowanie moich notatek powstałych z rozmów i badań terenowych prowadzonych

w Limanowej. Kwerenda w księgach ślubów parafialnych potwierdziła wojenną datę ślubu Zofii Gibasównej, zaś moje uporczywe dociekania odnośnie możliwości zaistnienia tak zdumiewającego faktu, jak uwolnienie wuja zostało potwierdzone, przez Wuję Profesora Tadeusza. A wszystko – co powyżej – wy dobyłem dzięki nieocenionym: Cioci Krystynie oraz Stanisławowi Ociepcie. Ten niezwykle zasłużony regionalista, miał dostęp do rodzinnego archiwum Merkowskich, przy pracy nad albumem „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii, Suplement”, Limanowa 2012. I takimi oto meandrami ujawniły się całkiem nieznanne w naszej rodzinie podstawowe fakty z życiorysu wuja Władysława! Nigdy temat możliwości zwolnienia z Murnau nie pojawił się w rodzinnych rozmowach bądź wspomnieniach Mamy, Cioci Zakonnicy i jakże wiarygodnej Cioci Dziewońskiej. Zapytany poprzez Ciocię Krystynę Gibasową, sędziwy Wuj Profesor Tadeusz poinformował jedynie ogólnie, iż jego ojciec Izidor Gibas – teść Władysława i ojciec Marii Bochnkowej, wystąpił w okresie okupacji do władz niemieckiego obozu dla jeńców polskich – oflagu w Murnau i uzyskał zwolnienie swego zięcia przez komendanta obozu.

Niestety, nikt mi już nie umiał odpowiedzieć, kiedy dokładnie wuj Władysław został zwolniony, a także jaki przebieg miały owe starania. Tajemnicę w tych kwestiach zabrał ze sobą do grobu, ten jakże szlachetny teść mego wuja. W Dniu Zadusznym, w modlitwach za zmarłych, poświęcam zawsze wdzięczną myśl Śp. Izidorowi (...).

Jak już nadmieniałem na samym wstępie, opracowaniu temu towarzyszyło i nadal jest obecne, poczucie bezradności. Szczególnie dojmujące gdy chodzi o ostatnie lata życia mego ojca chrzestnego. Białe plamy – brak jakichkolwiek informacji lub dokumentów obrazujących życie codzienne wuja i śladów jego aktywności zawodowej po roku 1945.

Wiedząc, że dawne starostwo powiatowe w Limanowej uległo likwidacji dopiero po 1947 roku – wyprawilem się w 2012 jesienią do Nowego Sącza, aby tam w Oddziale Zamiejscowym Krakowskiego Archiwum dokonać kwerendy. Niestety, była z wynikiem negatywnym. Więc wuj nie wrócił po wojnie, bodaj na krótko do zawodu inżyniera agronoma. A przecież musiał być ubezpieczony mając córki, żonę i schorowaną

teściową, sam zaś chociażby z uwagi na konieczność leczenia i okresowych pobytów w szpitalu. Przyjmuję zatem, że ostatnie lata Władysława Bochenka były trudną egzystencją w śmiertelnym stadium gruźlicy oraz w skrajnych, warunkach bytowych. A przecież wuj troszczył się, jak umiał o losy rodziny, szczególnie o przyszłość dorastającej Basi. To dzięki pomocy moich rodziców umieścił córkę w szkole rolniczej, która funkcjonowała w Myślenicach w latach 40. ub. wieku m.in. dzięki znakomitym nauczycielom: inż. Józefowi Jarmule i inż. Hosaji. A potem cd. nauki Basi w Czernichowie pod Krakowem, gdzie była znakomita placówka oświaty rolniczej z gospodarstwem doświadczalnym. Basia dojeżdżała tam z wielickiej Bochenkówki. Powyższe informacje zawdzięczam memu starszemu bratu Lechowi.

Szczęśliwy przypadek sprawił, że w 2016 roku przy porządkowaniu tzw. „papierów rodzinnych” po Śp. Ojcu Walentym, natrafiłem najniespodziewaniej(!) na dokument szczególnie – akt notarialny z roku 1950. Otóż, na niespełna dwa miesiące przed swoją śmiercią, wuj Władysław zawiązał notariusza z Bielska do Sanatorium Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Bystrej Śląskiej, gdzie przebywał na leczeniu. Został tam dnia 17 kwietnia 1950 roku sporządzony akt notarialny, w którym wuj udzielił memu ojcu Walentemu Kołodziejczykowi pełnomocnictw do występowania w jego imieniu i do zastępstw w czynnościach związanych z załatwieniem sprawy z tytułu „dziedziczenia po Józefie z Jaworskich Bochenkowej swojej matki w Bogucicach”. Ale co najważniejsze w tym akcie dla mnie: wuj wykazał swą tożsamość „obywatela polskiego inżyniera...” za pomocą: „swojej legitymacji służbowej Nr 37 wydanej przez Centralę Mięsną Centrali Spółdzielczo – Państwowej w Krakowie 11 kwietnia 1949 roku”. A więc był ubezpieczony, a zatem formalnie zatrudnionym. Obecnie wykorzystałem ten ślad w prowadzonych dalszych poszukiwaniach. W styczniu br. zwróciłem się do Oddziału Archiwum Państwowego w Milanówku pod Warszawą z prośbą o informacje i dokumenty dotyczące wuja Władysława Bochenka. W czerwcu 2018 r. Archiwum Dokumentacji Osobowej i Płacowej AP w Warszawie z siedzibą w Milanówku potwierdziło (!) otrzymanie mego pisma i poprosiło, aby: „cierpliwie czekać na odpowiedź od nas”. Czekam więc z umiarkowaną nadzieją.

A może odnajdzie się curriculum vitae wuja z informacją o jego drodze zawodowej od lat 30. XX wieku?

Kiedy zmarł najstarszy z żyjących w rodzinie Bochenków Władysław Józef, inż. agronom – brat mamy – miałem 4 lata. Nie zapamiętałem wuja. W tym samym 1950 roku przeprowadziliśmy się z rodzicami i starszymi braćmi z Myślenic do Wieliczki. Powróciliśmy na schedę po dziadku Piotrze i osiedliśmy się na kompletnie podupadłej Bochenkówce, gdzie żyła samotnie macocha mamy, babcia Helena z Czepielewskich Bochenkowa. Powrót z Myślenic był o tyle konieczny, co dramatycznie przyspieszony. Mój ojciec był w latach międzywojennych aktywnym ludowcem, a w latach 40. ubiegłego wieku zwolennikiem PSL Mikołajczyka. Po ucieczce wicepremiera był szykanowany, otrzymywał groźne anonimy, a w końcu zakaz zatrudnienia na terenie całego myślenickiego rozległego powiatu. Odtąd, po śmierci wuja nasze kontakty z Mordarką stopniowo zamarły.

Fotografie: arch. Rodziny Bochenków i Merkowskich

¹ Andrzej Wajda w rozmowie redakcyjnej „Tygodnika Powszechnego” w dodatku: „Katyń. Powrót opowieści” (TP nr 38/2007) wypowiedział zacytowane zdanie.

² Pierwsza całościowa próba opracowania dziejów naszej Rodziny w formie czystego brulionu z przypisami zatytułowanego w 2008 r. „Z naszej przeszłości – manuskrypt rodzinny” (tekst z 17. 09. 2007 z przypisami z 30. 10. 2007 r. odnoszącymi się jedynie do I części rękopisu).

³ Czesław Miłosz w szkicu: „Życiorysy” 2004 r., „Spizarnia Literacka” Wyd. Literackie Kraków. Wyd. II 2011 r.

⁴ Artykuły wspomnieniowe zatytułowane „Pamięci Profesora Tadeusza Gibasa” („EL” nr 254 – 255, listopad – grudzień, 2015 r.) autorstwa Stanisława Ociepki i artykuł pt. „O Wuju, Profesorze Gibasie” („EL” nr 256-257, styczeń – luty, 2016 r.) mego autorstwa.

Wyrażam podziękowanie Panu Stanisławowi Jackowi Kołodziejczykowi za udostępnienie redakcji „Echa Limanowskiego” rodzinnych wspomnień. Równocześnie ubolewam, iż tak ciekawy, bogaty i barwny wspomnieniowy tekst, musiał być skrócony z powodu ograniczeń objętościowych w naszym dwumiesięczniku.

Stanisław Ociepka

Moje wojenne wakacje

Antoni Mamak

Niech żyją wakacje/niech żyje pole i las/ i niebo i słońce/wolny, swobodny czas.



Kamienista droga „Pod Górą” (dziś ul. Leśna) w rejonie Chłopskiej Góry (Miejskiej). Po prawej stronie gospodarstwo i dom rodzinny Franciszka Mamaka z charakterystycznym wiatrakiem. W domu tym urodził się w 1930 roku autor felietonu.

Tej piosenki nie śpiewałem, zapewne jej jeszcze nie było, ale to wszystko ja miałem w swoim zasięgu: niebo, słońce, pola, lasy, wspaniałe widoki na Beskid Wyspowy i Gorce, które oglądałem codziennie. Nieco gorzej było z wolnym czasem. Wakacje przypadają na okres najbardziej intensywnych prac na roli, sianokosy i żniwa. Wprawdzie nasz młody uczeń w szkole nie był zbyt mocno przeciążony nauką i nie domagał się odpoczynku, bo okupant niemiecki postarał się o to, aby polskie dzieci za dużo nie wiedziały. Pamiętam dokładnie rozkład lekcji w czwartej albo piątej klasie, polskie, niemieckie, rachunki, przyroda, rysunki, raz w tygodniu była jeszcze religia i śpiew. O historii czy geografii nie mogło być mowy. Moje drugie wakacje zapowiadały się w sposób nietypowy. Już w miesiącu czerwcu, w naszej szkole na korytarzu pierwszego piętra, pojawił się dzwon, wkrótce mieliśmy się przekonać o jego przeznaczeniu. Pewnego dnia, podczas lekcji, rozległ się jego przeraźliwy dźwięk. Przerwaliśmy lekcje i na polecenie pani, w pośpiechu wybiegliśmy na plac przed szkołę. Tam wręczono nam gazę i kazano przyłożyć na usta. Był to próbny alarm bojowy. Nadeszły wakacje trochę niespokojne, razem ze swoim kolegą Frankiem, rzuciliśmy się

w wir zabaw i nadzwyczajnych przygód. Okoliczne jary, lasy i góry były dla nas pełne tajemnic, gęste jodłowe młodniki to dla nas puszcze dotknięte po raz pierwszy naszą stopą. Uzbrojeni w łuki, tomahawki, z głowami ozdobionymi piórami koguta tropiliśmy ślady dzikich zwierząt. Znaleźliśmy wszystkie gniazda dzikich gołębi, kosów, jastrzębi, wiewiórek. Nawet sprytny lis nie ukrył się przed nami w swojej norze, w starym kamieniołomie. Jazda na hulajnodze, rowerze swojej roboty (koła wycięte z klocków) z górki była niebezpieczna, kamień czy mała dziura groziły wywrotką przez kierownicę na głowę, ale to nas nie zrażało. Mój kolega Franek w pomysłach zabaw był niezastąpiony. Okres przed żniwami był wykorzystany na gromadzeniu opału na zimę. Miałem mały wózek, подарowany przez mojego wujka Franciszka z zawodu kołodzieja, naprawdę piękny, jeździłszy za górę, w poszukiwaniu uschniętych świerków, a po tym na złamanie karku pędziliśmy po bardzo stromym zboczu góry. Pewnego dnia nie mogliśmy go powstrzymać, wózek z rozpędem przejechał obok nas i z hukiem rozbił się o drzewo. Niezapomnianą przygodą była całodzienna wyprawa po drewno bukowe na Jaworznię, na tak zwane Stoły (płaskowyż góry Jaworz). W czas rano

do wozu z luterkami (rodzaj drabinek) kładło się trochę siana, do torby pajdę chleba z wędzoną „spyrką”, zaprzęgało krówki i jazda. Droga prowadziła przez stary las jodłowy i bukowy, miejscami tak wąską, że z trudem można było się przecisnąć.

Najbardziej niebezpiecznym był przejazd przez Ostre (Pasma Łososieńskie) niebieskim szlakiem na Jaworz, zjazd z niego wymagał hamowania na dwa tylne koła łańcuchami na ostre (hamowanie na ostre polegało na dwukrotnym owinięciu łańcuchem koła, tak aby tarł o ziemię). Pod drogą była bardzo uboga, dymna chałupa, zwana Kopciówka, przedwojenne gniazdo naszych Cyganów (chałupa po remoncie nadal istnieje). W 1942 roku Niemcy zabrali do obozu wszystkich dorosłych, pozostawili tylko prawie 100-letnią babcię, aby opiekowała się małymi dziećmi. Palila ona fajkę, a za kawałek chleba wróżyła nam z ręki i opowiadała dziwne historie, lubiliśmy ich słuchać. Mówiła nam, że dawno temu była tu karczma, bowiem wtedy prowadzi najkrótsza droga, z odległych Ujanowic, Jaworznej, Żmiącej do limanowskich urzędów, na jarmarki, odpusty. Tą drogą przez góry rolnicy nieśli swoje produkty rolne, wspaniałe wiśnie i czereśnie, zmęczeni chętnie tu odpoczywali. Szukaliśmy po niej śladów,

(ciąg dalszy na stronie 36)

ORGANIZACJA PRZYJĘĆ OKOLICZNOŚCIOWYCH

Siwy Brzeg

Restauracja Siwy Brzeg
Limanowa, ul. Br. Czecha 4

tel. 18 3373 878

www.siwybrzeg.pl



NIE BACZĄC NA REMONT
Limanowskiego Domu Kultury
Restauracja **SIWY BRZEG**
Ma się dobrze!

ZAPRASZAMY
do nowych estetycznych sal w których organizujemy:
wesela, bankiety, przyjęcia okolicznościowe i inne

Pyszne jedzenie
Dania na zamówienie
CATERING

Stary Browar

Restauracja Stary Browar
Limanowa, ul. J. Marka 9

tel. 18 337 9999

www.starybrowar.siwybrzeg.pl



Zapraszamy!



Fot. 1.



Fot. 2.



Fot. 5.



Fot. 6.



Fot. 7.

Cmentarz miejsce dziedzictwa kulturowego

Fot. 1. - Grobowiec rodziny Kozdruniów, Seidlerów i Jaworz-Dutków.

Fot. 2. - Grób rodziny Kurtyczów.

Fot. 3. - Płyta nagrobna Mariana Borzemeskiego - olimpijczyka z Paryża 1924 roku.

Fot. 4. - Grób Marii Mioszewskej z Dunikowskich, matki Juliusza Mioszewskiego - limanowskiego lekarza.

Fot. 5. - Grób Jerzego Kality zastrzelonego przez Niemców w 1944 roku.

Fot. 6. - Mogiła nieznanego żołnierza poległego w kampanii wrześniowej w 1939 roku na Ziemi Limanowskiej.

Fot. 7. - Płyty nagrobne na mogile Gałzińskich.

Fot. 8. - Obelisk na grobie ks. Jana Szaflarskiego, proboszcza Tylmanowej.

Fot. 9. - Grób rodzinny Bursztynów. Marceli Bursztyn, burmistrz Limanowej w latach międzywojennych.

Fot. 10. - Grób Jakuba Szweczyka i jego żony, właściciela kamieniołomu w Mordarce, z którego pochodził piaskowiec na budowę kościoła limanowskiego.



Fot. 3.

Fot. 4.



Fot. 9.



Fot. 10.

Fotografie: Stanisław Ociepka

Fot. 8.



Producent Środków Czystości
od 1991 roku

golddrop.eu



**Polecamy się
do expresowych porządków!**

Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzečna 11d, 34-600 Limanowa,
tel. 18 3376137

Moje wojenne wakacje

na małej polanie nad drogą, można było jeszcze odnaleźć fragmenty kamiennej podmurówki. Obok z ziemi wypływa krystalicznie czyste źródło.

Las dawał nam nie tylko opał, ale jego runo sownie nas wynagradzało. Właściciel dworu w Mordarce wyciął na Sarczynie cały las od szczytu Łysej Góry, po szczyt Gronia, Pasma Łososińskiego. W tych wyrębiskach pełno było wspinających malin i poziomek. Rozkrzewiła się też dziko rosnąca iwina (gatunek wierzby). Jej młode szybko rosnące pędy, służyły przez całe lato, jako pasza dla bydła, owiec i kóz. Małe poletka górskie ciągnące się od szczytu Łysej Góry, gdzie słońce nie zagładało od połowy listopada do marca, należały do rodzin: Tąty, Talagi, Gryźniaka. Pola te obsiane były zbożem, które i tak nie zapewniało dostatecznej ilości ziarna, aby wyżywić dosyć liczne rodziny, tak więc pasze dla bydła pozyskiwano z ugorów i polan leśnych.

Jak już wspomniałem, na wyrębach było dużo malin i poziomek. Pamiętam jedną taką wycieczkę. Z siostrą Kazią zbieraliśmy maliny, zrobiło się późno, słońce zachodziło, do domu musieliśmy iść przez gęsty jodłowy las. Na Kościelnisku panował całkowity mrok, nagle rozległ się nad nami przeraźliwy głos, przestraszeni zaczęliśmy uciekać. W domu opowiedziałem to mamie, a Ona spokojnie mówi: „niepotrzebnie się bałeś, to był dziki gołąb”. W pobliskim lesie i w górze zbieraliśmy grzyby. Każdy z nas błędnie umiał rozpoznać dobrego grzyba od trującego. Prawdziwki nakładaliśmy na gałązki głogu i suszyliśmy na słońcu. Gołąbki kładło się na rozpaloną blachę kuchenną, prażyło się aż były rumiane i posypywało się solą, co to była za pycha! Najwięcej borówek było na halach Sałaszu.

Te moje wszystkie wakacje trwały kiedy wkoło szerzył się terror i śmierć, mimo to my małe dzieci staraliśmy się o tym nie myśleć. Latem 1943 roku uciekając przed pogromem Polaków na Wołyniu, przyjechała do Antoniego Surmy, wraz z trojgiem dzieci, jego siostra, która wyszła za męża za Ukraińca. Córka Teresa miała 9 lat, Władek był moim rówieśnikiem, Miśko miał cztery lata. Wspólnie zaczęliśmy się bawić i pomagać w pracy w polu, także włóczyć się po górach i lesie. Władek opowiadał nam o tragicznych wydarzeniach, których był naocznym



Obóz 36. brygady Służby Polsce w Szamotułach - 1948 rok. Antoni Mamak stoi 3 z prawej.

świadkiem w swoich rodzinnych stronach. W czerwcu 1944 roku po aresztowaniu całej rodziny Surmów, Władek przyniósł do naszego domu zamek od karabinu i kilkanaście sztuk amunicji, które znalazł ukryte w spichlerzu. Kiedy to zobaczyłem, przestraszyłem się bardzo, zamek wrzuciłem do studni, amunicję do karabinu zakopaliśmy na górach w lesie. Po wielu latach przy czyszczeniu studni, odnalazłem zardzewiały zamek do karabinu. Władek był dobrym kolegą, mówił, że jak stąd wyjadą, jeszcze mnie odwiedzi. Po zakończeniu działań wojennych cała rodzina wyjechała na Ziemię Odzyskaną.

W lipcu 1944 roku front wschodni zbliżył się do obecnych wschodnich granic Polski. Niemcy w pośpiechu rozpoczęli robić umocnienia obronne na linii rzeki Dunajec, od Klęczan, na wzgórzach Marcinkowic, Kurów, do Tęgoborzy. Wszyscy jeszcze zdolni do pracy otrzymali nakaz wstawienia się do robót przy okopach. Nie miałem jeszcze ukończonego czternastego roku życia, w domu postanowiono, że to ja zastąpię moją starszą chorą siostrę. Codziennie o godzinie szóstej rano wsiadaliśmy do towarowego pociągu, który zawoził nas do Marcinkowic. Tam formowano kolumnę i szliśmy na miejsce kopać transeje. Wyznaczony odcinek musiał być bezwzględnie wykonany. Jeździłem tam przez cały lipiec i sierpień. To były moje ostatnie wojenne wakacje.

Wojna się skończyła i trzeba było pomyśleć, co mam dalej robić. W Limanowej otwarto Liceum Ogólnokształcące,

Technikum Leśne i Publiczną Średnią Szkołę Zawodową. Miałem ochotę iść do Liceum, ale straszli mnie przedwojenną maturą, tak więc postanowiłem uczyć się zawodu. Nasz kraj przez działania wojenne był całkowicie zniszczony, z wielkim zapałem zabrano się do usuwania jego zniszczeń. Cały kraj buduje naszą stolicę, to było naczelne hasło. Potworzono hufce młodzieżowe, tzw. Służbę Polsce. Chłopcy i dziewczęta byli wzywani do odbudowy Warszawy i innych miast. Podczas wakacji w 1948 roku, zostałem powołany do 36. brygady Służby Polsce, w Szamotułach. Naszym zadaniem była budowa linii kolejowej od jeziora Kiekrz w kierunku Wronek. Spaliśmy w namiotach, obowiązywał nas regulamin wojskowy i codzienny ośmiogodzinny dzień pracy. W czasie marszu śpiewaliśmy na całe gardło; *Już się pieśń na usta rwie, SP hej! SP. Nierozłączne siostry dwie, młodzież i SP. Dalej z nami fundamenty kłaść, pod gmach Polski nowej. Maszeruje rozśpiewana brać, przyszłości świat tęczowy.* Młodzież pracowała z wielkim zapałem. Być przodownikiem pracy to był zaszczyt. Do wyścigu pracy potrafili zachęcić młodzież zwykłą, okrągłą, blaszką, koloru złotego, srebrnego, brązowego, którą przypinano do munduru. W SP pracowałem przez dwa miesiące, takie były ostatnie moje szkolne wakacje.

Fotografie: arch. Antoniego Mamaka

Bolesław Mężyk

– żołnierz i nauczyciel cz. 2

Lata okupacji

Po tygodniowym pobycie w rodzinnym Łęgu Tato udał się w październiku na rowerze do Kaniny, do swojego miejsca pracy. Tam czekało na niego wolne miejsce, wobec tego przystąpił do pracy nauczycielskiej. Był wygłodzony i miał straszny apetyt, więc przez jakiś miesiąc zjadał niezmiernie ilości pokarmu.

Z końcem października 1939 r., na prośbę miejscowej młodzieży, Ojciec rozpoczął prowadzenie w Kaninie tajnego nauczania w zakresie gimnazjum w systemie niezorganizowanym. Na komplety przychodzili uczniowie z Kaniny, którzy przed wojną uczęszczali do gimnazjum w Nowym Sączu, a poza tym dochodzili z sąsiednich wiosek tj. z Wysokiego, Przyszowej i Siekierczyny. Ojciec uczył geografii, biologii i matematyki. Natomiast pozostałe przedmioty prowadzili nauczyciele, głównie szkół podstawowych, mieszkający i pracujący w sąsiednich miejscowościach. Zajęcia prowadzone przez Ojca odbywały się w szkole w Kaninie późnymi popołudniami i wieczorami po zakończeniu lekcji przez uczniów legalnie funkcjonującej szkoły podstawowej (...).

Na początku listopada 1939 roku otrzymał wezwanie władz niemieckich do stawienia się w starostwie w Limanowej prawdopodobnie na dzień 9 lub 10 listopada jako oficer zakładnik przed świętem Niepodległości. Ojciec zapomniał sobie o tym wezwaniu i z tego powodu wieczorem w dniu 10 listopada pod szkołę w Kaninie przyjechał samochodem wachmistrz żandarmerii i dowiózł Go do Limanowej. Na dodatek Tato prowadził w tym czasie zajęcia na tajnych kompletach i ledwo zdążył wypuścić uczniów tylnym wyjściem, zanim żandarm wszedł do szkoły. Z powodu niezgłoszenia się miał spore kłopoty, ale znając język niemiecki udało Mu się jakoś wytłumaczyć twierdząc, że żadnego wezwania nie otrzymał. Po tych wyjaśnieniach odprowadzono Go do limanowskiego więzienia, gdzie przebywali już inni oficerowie, którzy zgłosili się przed południem.

W samym więzieniu aresztowanym oficerom polskim nie było wcale

tak źle. W mieście powstał natychmiast pod przewodnictwem pani Ceglarzowej, Społeczny Komitet Pomocy Więźniom. Codziennie od tego Komitetu aresztowani otrzymywali obiady. Poza tym w każdy dzień od 10-12 godziny wyprowadzano ich na świeże powietrze na podwórze przywiązane i wówczas w więzieniu sprzątano.

Ojciec przebywał w jednej celi z *Franciszkiem Skoczaniem* – kierownikiem szkoły z Sowlin, *Władysławem Olesiem* – nauczycielem szkoły podstawowej w Limanowej i *Brzeziną* – dentystą z Limanowej. Ze znajomych w innych celach przebywali *Zygmunt Pawłowski* – kierownik szkoły podstawowej w Szyku, *Gacol* – kierownik szkoły podstawowej w Górze Jana, *Jan Grzywacz* – kierownik szkoły w Skrzydlnej i inni oficerowie rezerwy zamieszkali na terenie powiatu limanowskiego.

W celi Ojca więźniowie mieli bardzo urozmaicone życie, bowiem pani Brzezinowa codziennie przemyślała mężowi pół litra wódki, to jako towarzysz niedoli częstował kolegów. Łącznie w limanowskim więzieniu przebywało 20 oficerów rezerwy. Po tygodniu zwolniono 12 tj. tych, którzy nie brali udziału w wojnie, względnie nie przyznali się do udziału, a nikt ich nie zdradził. W tej grupie był Tato. Kolejnych 4 poszło do obozu jenieckiego, a 4 odwieziono do więzienia w Nowym Sączu i zwolniono ich dopiero w marcu 1940 r. Po powrocie do Kaniny kontynuował pracę w szkole oraz na tajnych kompletach.

Słowo komentarza: *Ten limanowski kryminal niedługo spełniał wrażenie beztroskiej sielanki. Były to jeszcze czasy początków okupacji, kiedy Niemcy dla wymuszenia posłuchu starali się zachowywać jeszcze w miarę przyzwoicie. Burmistrz Nowego Sącza – Roman Sichrawa otrzymał nakaz wskazania 10 nazwisk znamienitych mieszczan sądeckich jako rękojmię zachowania spokoju w tym samym czasie, który obejmuje biografia B. Mężyka. Burmistrz Sichrawa spełnił żądanie okupantów i wręczył po wyznaczonym całonocnym terminie żadaną listę*



Jadwiga i Bolesław Mężykowie przed gankiem szkoły w Kaninie - okres okupacji

zakładników. Widniało na niej 10 razy wpisane nazwisko – Roman Sichrawa – o dziwo ten incydent skończył się bez tragicznych konsekwencji. Być może zainteresują kogoś dzieje aparatu telefonicznego z sekretariatu dzielnego burmistrza Sichrawy, który zdobi dzisiaj półkę mojego mieszkania? Niestety, niedługo nalepiane na miejskich słupach i tablicach ogłoszeń listy zakładników, zastępowały te same nazwiska, ale jako rozstrzelanych w ramach odwetu za akcje partyzanckie (przyp. MP).

W lipcu 1942 r. będąc na wakacjach w rodzinnym Łęgu Tarnowskim, wstąpił do ZPP, czyli Związku Powstańców Polskich (organizacja ta w krótkim czasie weszła w skład ZWZ – Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej), gdzie został dowódcą plutonu (...).

Jego konspiracyjnymi pseudonimami były: „Mirek” i „Witos”, postuluje się także nazwiskiem Franciszek Warzała (przyp. MP).

Po wakacjach powrócił do Kaniny i zgłosił się do dyspozycji komendanta placówki ZWZ AK Limanowa ppor. Zygmunta Jońca ps. „Zyg”. Po czym został dowódcą plutonu w placówce w Łukowicy,

której komendantem był ppor. Dutka ps. „Jaworz”, który placówkę utworzył z żołnierzy ZWZ. W wyniku pewnych reorganizacji placówka weszła następnie w szeregi BCH, by w procesie scaleniowym powrócić do ZWZ – AK, a komendant placówki Dutka ps. „Jaworz” został mianowany zastępcą dowódcy obwodu Limanowa AK.

W wakacje 1943 r. Ojciec również przebywał na terenie Łęgu, gdzie aktywnie włączył się w działalność konspiracyjną, zajmując się przede wszystkim szkoleniem żołnierzy coraz liczniej wstępujących do konspiracji (...).

Po powrocie do Kaniny we wrześniu 1943 r. został mianowany przez komendanta Obwodu Limanowa kpt. Krzewickiego ps. „Filip” na komendanta placówki Łukowica. Placówkę tę objął po odwołaniu poprzedniego komendanta.

Terytorialnie placówka w Łukowicy obejmowała gminę Łukowica oraz północną część gminy Łącko. Na wiosnę 1944 r. do placówki włączony został oddział wywodzący się z BCH, który mimo zahamowania procesu scaleniowego pozostał w Armii Krajowej. Na bazie tego oddziału liczącego około 60 żołnierzy utworzona została podplacówka Łącko, podporządkowana ewidencyjnie placówce w Łukowicy. Podplacówka ta uzyskała dużą samodzielność w prowadzeniu działań zbrojnych.

Z chwilą objęcia placówki liczyła 114 oficerów, podoficerów i szeregowych oraz pewną ilość żołnierzy BCH, którzy zostali włączeni do AK w wyniku procesu scaleniowego oraz kompania z podplacówki Łącko – licząca około 60 żołnierzy. W placówce były zaprzysiężone osoby cywilne zainstalowane w komórce wywiadu. Były to między innymi urzędniczki pracujące w placówkach pocztowych i kontrolujące korespondencję kierowaną do Niemców. Były też osoby cywilne, które wykonywały szereg czynności pomocniczych niebojowych. Głównie rekrutowały się spośród nauczycieli miejscowych szkół.

Praca konspiracyjna ogniskowała się w tym czasie wokół domu st. sierżanta Franciszka Króla w Roztoce. Tam dokonywano wszystkich ustaleń dotyczących działalności placówki, uzgadniano podejmowane akcje, przechowywana była znaczna część broni, a także znajdowała się dokumentacja placówki.

Zadaniem placówki było szkolenie żołnierzy, którzy nie byli w wojsku,



Bolesław Męzyk (w białej koszuli) wraz z podkomendnymi w trakcie służby granicznej w Cybince (miejscowość, w której Nysa Łużycka wpada do Odry) - 1945 rok

co odbywało się pod kierunkiem st. sierż. Franciszka Króla i ppor. Feliksa Moszyckiego, natomiast w zakresie posługiwania się nowoczesną bronią zdobytą na Niemcach lub pochodzącą ze zrzutów prowadził Tato, który wcześniej sam przeszedł takie przeszkolenie w Komendzie Obwodu. Również odbywało się systematyczne szkolenie tych, którzy odbyli przed wojną służbę wojskową. Szkolenie to było niezbędne dla przygotowania żołnierzy do bieżących działań bojowych, a także ogólnonarodowego powstania o kryptonimie „Burza”, które miało wybuchnąć z chwilą wycofywania się wojsk niemieckich, a przed wkroczeniem wojsk sowieckich tak, by wyzwolenie terenu nastąpiło przez gospodarzy czyli Polskę Walczącą.

Poważnym problemem był duży niedostatek broni, którą należało szybko pozyskać, aby można było realizować zadania wyznaczone przez Komendę Obwodu.

Na rozkaz komendanta Obwodu „Filipa” z placówki wyłączono pluton złożony z 35 najlepiej wyszkolonych żołnierzy, który w pierwszej kolejności miał obsadzić Winną Górę pod Starym Sączem. Z jednej strony tego niewielkiego wzgórza przebiegała linia kolejowa z Nowego Sącza do granicy i dalej na Słowację, a z drugiej strony droga międzynarodowa również na Słowację. Zadaniem oddziału było, w momencie wybuchu powstania, zaryglowanie obu dróg komunikacyjnych w sposób uniemożliwiający wycofywanie się wojsk niemieckich w kierunku Słowacji. Oddział ten był dowodzony przez Tatę. Jednak

wobec zmieniającej się sytuacji militarno – politycznej działania w obrębie Winnej Góry nie zostały uruchomione.

Wiosną 1944 r. z reszty żołnierzy placówki Tato utworzył oddział pod dowództwem ppor. Moszyckiego i st. sierż. Franciszka Króla, który podjął działania lokalne. Oddział ten nazywano „Grupą Mirka”.

Do codziennych zadań placówki, oprócz szkolenia żołnierzy należało uświadamianie ludności, co do celowości walki zbrojnej. Prowadzona była działalność wywiadowcza, a także kontrwywiadowcza mająca na celu ochronę żołnierzy i mieszkańców przed działaniami Niemców, starającymi się ustalić osoby należące do organizacji podziemnej między innymi za pośrednictwem konfidentów. Ponadto prowadzono ochronę ludności przed donosami kierowanymi do władz niemieckich. Dokonywano tego poprzez osoby pracujące w agencjach pocztowych w Łukowicy i Przyszowej, które otwierały korespondencję i ostrzegały osoby, co do których istniało podejrzenie, że na skutek donosów mogą stać się obiektami zainteresowania Niemców. Najczęściej były to donosy wysyłane przez zawistnych sąsiadów. Donosiciele karano poprzez publiczną chłostę. Takie działania były na tyle skuteczne, że studziły zapal do robienia donosów. Natomiast kobietom, które nawiązywały kontakty intymne z niemieckimi żołnierzami strzyżono głowy. Tak ukarano między innymi dwie dziewczyny z Łukowicy. Działalność wywiadowcza i kontrwywiadowcza, kierowana przez Tadeusza Kaucza, prowadzona była na bardzo

wysokim poziomie. W okresie kiedy komendantem placówki był Tato nie doszło do żadnej wyspy. Ponadto dzięki działaniom kontrwywiadu udawało się dość skutecznie ochraniać ludność cywilną przed poborem kontyngentów, a także przed wywozem zwłaszcza młodych ludzi na roboty do Niemiec.

Placówka prowadziła także działania zbrojne. Ważnym problemem był niedobór broni. Pod dowództwem Ojca i ppor. Feliksa Moszyckiego dwukrotnie rozbrojono posterunek policyjny w Łukowicy, pozyskując broń i amunicję tam zgromadzoną. Otrzymano również trochę broni ze zrzutów 1944 r. Zrzuty odbierane były przez wydzielone pododdziały na szczeblu Komendy Obwodu. Odbiór broni przez Placówkę z Łukowicy odbywał się w Szyku, gdzie mieściła się Komenda Obwodu. Następnie nocą transportowana była do Kaniny, gdzie Ojciec przechowywał ją na terenie szkoły, aby kolejnej nocy przenieść ją dalej do siedziby placówki w Roztoce do domu st. sierż. Króla.

Podjęmowane były także wypadki na drogę Limanowa – Nowy Sącz w rejonie Wysokiego, gdzie w wyniku ataku na transporty niemieckie starano się pozyskać trochę uzbrojenia. Tymi akcjami dowodził ppor. Żuk-Skarszewski, ziemianin z Przyszowej. Łącznie w tych akcjach zdobyto 7 karabinów maszynowych i 12 karabinów ręcznych. Niestety część z tego uzbrojenia zabrali Rosjanie ze zgrupowania ppłk. Zołotara, którzy bez uprzedzenia przyłączyli się do prowadzonych przez żołnierzy AK działań zbrojnych.

Z Rosjanami był spory problem. Zgłaszali oni gotowość współpracy zbrojnej z AK, lecz miało się to odbywać pod dowództwem sowieckim, a także po zdobyciu broni większość miała zostać w rękach rosyjskich. Na takie propozycje odpowiedź komendanta placówki Łukowica musiała być negatywna. Niemniej jednak w trakcie akcji prowadzonych przez żołnierzy AK, Rosjanie bez uprzedzenia włączali się czasami do działań zbrojnych.

Komenda Placówki AK w Łukowicy starała się prowadzić działania zbrojne przeciwko Niemcom w sposób ograniczający ewentualny odwet z ich strony w stosunku do ludności cywilnej. Rosjanie na bezpieczeństwo ludności nie zwracali uwagi. Przykładem tego była akcja dowodzona przez Tatę w Berdychowie



Nauczyciele i słuchacze tajnego nauczania w Kaninie. W środku, na ławce siedzi Bolesław Mężyk - 1945 rok.

(Przyszowa) mająca na celu odbicie transportu kontyngentu zbożowego składającego się z 16 wozów oraz rozbrojenie konwojentów niemieckich. Transport ten konwojowali starsi wiekiem żołnierze niemieccy, którzy nie mieli ochoty ginąć za Hitlera. Akowcy dogadali się z nimi, że akcja odbędzie się bez walki. Partyzanci mieli zarekwirować wozy oraz rozbroić Niemców. W ostatniej chwili do działań włączyła się partyzantka sowiecka, doszło do strzelaniny, w której zginęło 9 Niemców, a 1 uciekł. Po stronie żołnierzy polskich było 2 rannych. Po akcji doszło do ostrego sporu pomiędzy Ojcem, a dowódcą oddziału rosyjskiego. Rosjanie chcieli zabrać wszystkie zdobytą w akcji broń. Im bardzo zależało, aby Polacy byli słabo uzbrojeni w perspektywie wkroczenia wojsk sowieckich na te tereny. W końcu doszło do podziału broni po połowie. W odwecie Niemcy spalili dwa zabudowania wraz z dobytkiem. Dzięki jednak pomocy dowództwa placówki poszkodowani w krótkim czasie odbudowali się.

Poprzez teren placówki w Łukowicy przedostawali się sowieccy żołnierze, zbiedzcy z obozu jenieckiego w Sowlinach. Byli oni przejmowani przez żołnierzy placówki, a następnie poprzez łączników kierowani do miejsc stacjonowania oddziałów Zołotara.

Żołnierze placówki pod dowództwem ppor. Feliksa Moszyckiego i st. sierż. Franciszka Króla na bieżąco prowadzili akcje rekwizycji środków żywności (będące w posiadaniu Niemców) w młeczarni w Łukowicy, które przekazywane były

miejscowej ludności, a częściowo przeznaczane na potrzeby placówki.

Dużym wyzwaniem dla Taty były odprawy komendantów placówek w komendzie obwodu, która mieściła się w Szyku. Na te odprawy Ojciec chodził pieszo ponad 20 km w jedną stronę polnymi drogami i ścieżkami. Musiał zachowywać szczególną ostrożność, bowiem przy sobie miał dokumenty placówki, tj. meldunki, raporty wywiadu i kontrwywiadu, różnego rodzaju sprawozdania. Raz idąc na odprawę postanowił skrócić sobie trasę i przejść przez most kolejowy w Łososinie Górnej. Wydawało się, że nie ma żadnego zagrożenia, a tymczasem gdy był już w połowie mostu po drugiej stronie zza krzaków wyszedł na tory niemiecki wartownik. Wycofać się już nie było można, wobec tego Tato odbezpieczył broń w kieszeni płaszcza i pewnym krokiem ruszył w kierunku wartownika. Gdy tamten zobaczył pewnie idącego młodego człowieka na dodatek w butach oficerkach, szybko zszedł z nasypu i schował się ponownie w krzakach nie próbując zaczepekki.

W okresie wakacji szkolnych (sierpień) Ojciec uzyskał zgodę Komendanta Obwodu na wyjazd do rodzinnego Łęgu Tarnowskiego z równoczesnym czasowym oddelegowaniem do Placówki AK w Łęgu Tarnowskim. Zastępstwo na okres urlopu objął ppor. Dutka „Jaworz” – zastępca komendanta obwodu Limanowa.

Pod koniec sierpnia 1944 r. w rejonie Tarnowa w związku z przygotowaniem się Niemców na natarcie wojsk sowieckich powstała tzw. strefa przyfrontowa. Z tej

KOMISJA WERYFIKACYJNA DLA SPRAW A. K.
OKRĘG KRAKÓW

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE Nr 9013/359/L.

Komisja stwierdza, że ob. „Mirak” *Bolesław*
nr. 22.12.1913 *Łącko* (data, miejsce urodzenia, funkcja)
Kolt. Pln. Łukowica (pseudonim, imię i nazwisko)

po wykazaniu niezbitych dowodów prawdy – na podstawie osobistych zeznań – został
zweryfikowany do stopnia *kaptańca* ex. ze starszeństwem *1. I. 1945*
oraz odznaczony *Gródnym Krzyżem Zasługi z Mieczami*

Sekretarz Komisji Weryfik. *kpt. Nawara*
Przewodniczący Komisji Likwidacyjnej *plk. Turnia-Bistrzański*
Przewodniczący Komisji Weryfik. *mjr. Czacharski*
mjr. Kordian

strefy nie można się było wydostać, dlatego nie mógł z końcem sierpnia powrócić do Kaniny i do swojej placówki. W tym czasie w rejonie Tarnowa Armia Krajowa rozpoczęła działania bojowe w ramach „Burzy”. Ze względu na duże doświadczenie frontowe i konspiracyjne Ojciec został odkomenderowany do batalionu „Barbara” operującego w rejonie Pleśnej, który wchodził w skład odtworzonego 16. pułku piechoty Ziemi Tarnowskiej Armii Krajowej (w 1939 r. Ojciec wyruszył na front z tym pułkiem). Tam został zastępcą dowódcy batalionu i podlegał Mu sprawy szkolenia nowo wstępujących w szeregi batalionu żołnierzy. Batalion ten w okresie sierpień – wrzesień 1944 r. prowadził bardzo intensywne działania bojowe w rejonie Pleśnej pod Tarnowem, operując w strefie przyfrontowej nasyconej wojskiem niemieckim.

Prowadząc szkolenia żołnierzy, Ojciec dwukrotnie natknął się na Niemców konwojujących młodych mężczyzn na roboty do Niemiec. Pomimo że miał ze sobą dopiero szkolone wojsko, w obu przypadkach podjął jednak z powodzeniem akcję odbicia z rąk Niemców prowadzonych mężczyzn. Łącznie w obu starciach odbito około 35 mężczyzn bez strat własnych. Po powrocie do Łęgu Tarnowskiego Ojcu udało się wydostać poza strefę przyfrontową i na rowerze udał się do Kaniny, gdzie przejął ponownie komendę placówki Łukowica.

W trakcie nieobecności w placówce, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., utworzony przez Niego oddział pod dowództwem ppor. Feliksa Moszyckiego i st. sierż. Franciszka Króla zaatakował nocą na drodze Przyszowa-Stary

Sącz kolumnę niemiecką, która została rozbita, po stronie niemieckiej zginęło kilku żołnierzy, a wielu było rannych. Po stronie partyzantów, poza kilkoma lekko rannymi, nie było strat w ludziach.

W styczniu 1945 r. grupa operacyjna podplacówki Łącko pod dowództwem pchor. Skalicy, przy udziale pododdziałów placówki Łukowica pod dowództwem Ojca i starszego sierżanta Franciszka Króla udała się przez Lipowe, aby zaskoczyć wycofujące się oddziały niemieckie. Doszło do ataku na transport niemiecki wiozący między innymi amunicję. Po wymianie ognia i nieokreślonych stratach niemieckich udało się unieruchomić 2 samochody ciężarowe z amunicją. Po doposażeniu w znajdującą się na tych samochodach amunicję, grupę wycofano do Łącka i tam stoczyła prawie całodzienną potyczkę z oddziałami niemieckimi. W tym boju zginęło lub było rannych przynajmniej 10 Niemców, przy około 5 rannych partyzantach.

W drugiej połowie 1944 r. na terenie placówki pojawili się agitatorzy PPR-Armii Ludowej, którzy chcieli przeprowadzać werbunek żołnierzy do Armii Ludowej. Jednak miejscowa ludność natychmiast powiadomiła komendę placówki o tych działaniach z prośbą o spowodowanie ich zaniechania. Kontrwywiad szybko zlokalizował tę grupę agitatorów. Tato wziął grupę żołnierzy i spotkał się z tymi ludźmi wymuszając wycofanie się poza teren placówki.

Ostatnią akcją bojową żołnierzy placówki Łukowica było zdobycie z 16/17 stycznia 1945 r. przez żołnierzy pod dowództwem drużynowego ps. „Kapral” samochodu z dwuosobową obsługą

niemiecką, który został oddany do dyspozycji Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Dziewiętnastego stycznia 1945 r. do placówki Łukowica dotarł rozkaz komendanta Obwodu Limanowa „Filipa”, o rozwiązaniu Armii Krajowej przez Komendanta Głównego. W tej sytuacji placówka dowodzona przez Ojca zakończyła działalność. Stan osobowy placówki z chwilą zakończenia działań wynosił 244 oficerów, podoficerów i żołnierzy oraz osób cywilnych. Zabezpieczono posiadaną broń, to zadanie wykonał we własnym zakresie żołnierz oraz ukryto archiwum placówki, co wykonał szef placówki st. sierż. Franciszek Król.

Ojciec mając już doświadczenie w tajnym nauczaniu, którym zajmował się w Kaninie, zorganizował tajne nauczanie na terenie placówki. Z racji pełnionej funkcji był kierownikiem tajnego nauczania, jednak główny ciężar w zakresie nauczania na poziomie gimnazjum wzięli na siebie nauczyciele – żołnierze placówki tj. Andrzej Majka – dowódca trzeciego plutonu oraz Tadeusz Kaucz – szef wywiadu i kontrwywiadu, a także inni nauczyciele z miejscowych szkół. Ojciec natomiast koncentrował się na pracy w Kaninie, którą rozpoczął wkrótce po powrocie z wojny. Uczniowie, którzy uczęszczali na tajne komplety, zaraz po wycofaniu się Niemców w 1945 r. składali eksternistycznie egzaminy przed komisją w Nowym Sączu, gdzie uzyskiwali dokumenty potwierdzające ich wiedzę. Na podstawie tych dokumentów byli przyjmowani do szkół, a także uzyskiwali świadectwa dojrzałości.

Na przełomie lat 1944 i 1945, a szczególnie w styczniu 1945 r. w szkole w Kaninie często stacjonowały wycofujące się wojska niemieckie. Natomiast po 19 stycznia 1945 r. w szkole stacjonowały różne jednostki rosyjskie w swojej drodze na zachód. Były duże problemy, ponieważ strasznie kradli. Najbardziej podobały im się zegarki.

W kolejnym wydaniu „Echa Limanowskiego”, opisane zostaną dalsze dzieje Bolesława Mężyka w okresie kampanii 1945 roku i po wojnie.

**Opracował: Marek Pankiewicz –
na podstawie biografii Bolesława
Mężyka napisanej przez
syna Mirosława
Fotografie: arch. rodziny Mężyków**

Moja edukacja w limanowskiej „jedyńce”

Tomasz Jan Biedroń

Jej początek przypadał na drugą połowę lat 50-tych ubiegłego wieku, kiedy zacząłem do niej uczęszczać i pobierać nauki. Szkoła Podstawowa nr 1 w Limanowej, bo o niej mowa – popularnie zwana „jedyńką”, posiada bardzo dobrą lokalizację. Położona w zachodniej części Kamieńca pomiędzy ulicą Konopnickiej, potokiem Mordarka, ul. Zieloną, aż po obrzeża rynku. Szkoła przeżyła wojenną zawieruchę stosunkowo niewiele zniszczona przez działania wojenne. Przetrwiała nienaruszona bryła budynku z czerwonej cegły, nieotynkowana, dwupiętrowa. Na poddaszu znajdowały się tylko dwie klasy przejściowe, przygotowane naprędce w parę lat po zakończeniu wojny, w celu zwiększenia ilości sal lekcyjnych, z racji zwiększającej się liczby uczącej się młodzieży. W trudnej sytuacji byli ci uczniowie, którzy się spóźnili na lekcje. Najpierw zostali „obrugani” przez nauczyciela pierwszej klasy, a następnie po przejściu do następnej po raz kolejny-przez drugiego nauczyciela. Jeszcze na początku lat 60-tych w tych salach w godzinach popołudniowych odbywały się lekcje religii, aż do wycofania jej ze szkoły. Kiedy zaczynałem naukę w „jedyńce”, kierownikiem szkoły była Franciszka Ceglarzowa (1957-1959), żona Stanisława Ceglarza również kierownika szkoły w latach 1948-1954.

Szkoła ogrzewana była wówczas piecami kaflowymi (w roku szkolnym 1962/1963 działało już c.o.), znajdującymi się w klasach, zaś drzewiczki do palenisk były na korytarzach, gdzie woźny Jan Wójcik palił i dokładał węgiel, co nie wymagało wchodzenia do klas w czasie lekcji i przeszkadzania w zajęciach. Zachowały się również przedwojenne ławki z mocno wyżłobionymi porami od szorowania ryżowymi szczotkami. Wymieniono je dopiero w roku szkolnym 1961/62. Wprawdzie były nowe, posiadały duże pomalowane na połysk ciemnozielone blaty z wcięciami, żeby było wygodnie siedzieć. Niestety, o ile były dobre dla uczniów z młodszych klas, to były niewygodne dla starszej młodzieży, bo nie można było stać w ławce, należało wyjść z ławki i stanąć obok.

Szkoła była przyjazna, bowiem oddziały roczników liczyły od 2 do 3 klas, co sprzyjało integracji, ponieważ młodzież uczęszczająca do szkoły znała się. Szkoła posiadała ogromny atut: duże wyżłobione podwórze (salę gimnastyczną zaczęto budować w 1959 r., a ukończono w roku szkolnym 1961/62), otoczone ogrodzeniem z siatki, na którym w czasie przerw od wiosny do jesieni można było poszaleć. Od strony potoku Mordarka plac porośnięty był dużymi drzewami dającymi wiosną i jesienią upragniony cień. Patrząc z perspektywy czasu – lubiliśmy

do „jedyńki” uczęszczać, bo nie była potężnym, wielopiętrowym rozbudowanym kombinatem o wąskich zatłoczonych korytarzach, braku podwórza i anonimowej młodzieży. Wiosną i jesienią w dni pogodne w trakcie przerwy między lekcjami, pilnowani przez nauczycieli, musieliśmy wszyscy opuścić klasy, udając się na podwórze, gdzie dokazywaliśmy do woli. Ubrudzeni udawaliśmy się do płynącego obok potoku Mordarka, przechodząc przez bramkę w ogrodzeniu lub pod nią, gdy była zamknięta, służącego nam za umywalnię. Zmęczeni po dzwonku zasiadaliśmy w klasach, dając nauczycielom gwarancję, że będziemy spokojni i skupieni na lekcjach.

Plac przed szkołą odgrywał nie tylko rolę boiska sportowego w czasie lekcji wufu, ale i miejsca uroczystości szkolnych, jak zakończenie i początek roku szkolnego. Wejście do szkoły znajdowało się na podwyższeniu, nad nim na dwóch filarach zawieszony był dach, pod którym stał kierownik szkoły Józef Kurtycz (1959-1963), przemawiający do zgromadzonej na placu młodzieży i nauczycieli. Uroczystości te z czasem przeniesiono do nowo wybudowanej sali gimnastycznej. Przy wejściu do szkoły po prawej stronie drzwi wisiała tablica ogłoszeń, gdzie kredą nanoszono komunikaty kierownika szkoły. Z czasem tablicę zarzucono na rzecz kurendy, z którą woźny Jan Wójcik chodził od klasy do klasy



Budynek szkoły

w trakcie lekcji, przy okazji karcąc słownie lub napominając uczniów za niestosowne zachowanie w szkole, czy też w trakcie przerw między lekcjami. Na wspomnianej tablicy ogłoszeń zaczęły się pojawiać rymowanki i wierszyki, niekiedy niecenzuralne, sprośne, częściej pod adresem niektórych kolegów, rzadziej koleżanek, co wywoływało ich złość i gorączkowe poszukiwanie winnego. Podejrzeni byli wówczas wszyscy: uczennice i uczniowie „jedyńki”.

W szkole obowiązywała dyscyplina, na straży której stały: kij, ośla ława i zeszyt uwag, które odczytywano rodzicom na wywiadówce, co niekiedy kończyło się ponownym wymiarem kary, tym razem w domu. Za wszelkie przewinienie nauczyciel karał ucznia uderzeniami kija, czasami aż do łez. Dla nieuczących się, otrzymujących oceny niedostateczne przeznaczona była ośla ława, usadowiona po prawej stronie tablicy. Siedzący w niej delikwenci musieli w niej przebywać dopóty, dopóki nie poprawili niedostatecznych ocen. W osłej ławie sadzano również uczniów za skandaliczne zachowanie na lekcjach. Niestety, niekiedy stroili oni głupie miny do całej klasy zwłaszcza, gdy nauczyciel był zajęty pisaniami na tablicy lub odwrócony tyłem, co z kolei wywoływało reakcje odwetowe uczniów. Strzelano do nich z gumek złożonymi w kostkę kawałkami kartki,



Zdjęcie klasy VII b wykonał Jan Wójcik w marcu-kwietniu 1964 r. na zapleczu sali gimnastycznej. Od lewej: I szereg: Ewa Stanisław, Anna Borucka, Anna Kaim, Lucyna Zborowska, Janina Ślęzyk, Maria Piestrzyńska, Zofia Oleksy, Maria Jasica, Anna Wrona, Zofia Wiktołek. II szereg klęczą: Jerzy Biedroń, Jerzy Hermanowicz, Mieczysław Ślęzyk, Antoni Florek, Marian Kawula, Jerzy Wojtas, Kazimierz Florek, Grzegorz Czeczótka, Andrzej Matuszewski, Andrzej Jawor, Wojciech Ślęzyk. III szereg stoją: Jerzy Hampel, Marian Włodarczyk, Wojciech Kędroń, Tomasz Biedroń, Aleksander Golonka, Andrzej Ślęzyk, Antoni Dębski, Barbara Włodarczyk, Zofia Kordeczka, Zofia Piaskowy, Józef Sułkowski, Tadeusz Rutkowski. Autor dziękuje Jerzemu Wojtasowi za udostępnienie zdjęcia klasy VIIb i pomoc w ustalaniu imion i nazwisk koleżanek i kolegów znajdujących się na zdjęciu.

co było dosyć bolesne oraz ryżem lub pszenicą za pomocą metalowej oprawki ołówka. Wymierzanie kary cielesnej podobnie jak i osła ława zniknęły w roku szkolnym 1961/62, kiedy tego rodzaju praktyk zakazano.

Swego czasu jeden z naszych kolegów, który nałapał sporo ocen niedostatecznych, postanowił tę niekorzystną dla niego sytuację zmienić, ale nie poprzez naukę i poprawę ocen, lecz sięgając do drastycznego rozwiązania: po prostu zabrał dziennik klasowy, nikomu nic nie mówiąc. Nastąpiła trudna sytuacja dla wychowawczynie, bo była już zaawansowana wiosna, parę miesięcy przed wakacjami, dziennik był wypełniony planami przedmiotów, ocenami, trudnymi do odtworzenia. Zarządzono śledztwo prowadzone intensywnie i skutecznie przez jednego z nauczycieli, które po paru dniach dało efekt. Doszedł on w końcu, kto zabrał dziennik i dlaczego. Pod wpływem rozmów winowajca po kilku dniach przyniósł dziennik do szkoły. Obok ocen niedostatecznych dopisał sobie wszędzie same piątki. Możliwe, że za przyznanie się do zabrania dziennika i jego zwrot, nie relegowano go ze szkoły ani nie ukarano, prawdopodobnie obniżono mu jedynie ocenę za zachowanie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to pozostał na kolejny rok w tej samej klasie.

Do szkoły nosiliśmy kałamarze wypełnione atramentem, które wkładaliśmy w otwory w pulpitych ławek. Pisało się stalówką maczaną w atramencie, osadzoną na drewnianej obsadce. Dopiero w piątej klasie można było pisać wiecznym piórem. W ten sposób uczono kaligrafii i co najważniejsze czytelnie pisać. Nasza wychowawczynie Celina Biedroń, bardzo dbała nie tylko o dyscyplinę, opanowanie materiału, ale i o ładne pisanie. Prowadziła nas aż do piątej klasy. Wychowała wiele powojennych pokoleń limanowian. Jej odejście kończyło pewną „epokę” nauczania, bo byliśmy z nią bardzo zżyci. Wprawdzie w szóstej i siódmej klasie mieliśmy nową wychowawczynie Barbarę Olszewską i innego nauczyciela od każdego przedmiotu, ale już nie było takiej „cieplej” atmosfery jak poprzednio.

Od piątej klasy wprowadzono obowiązkowo dla uczennic granatowe chałaty z białym kołnierzykiem, zaś dla chłopców granatowe bluzy również z białym kołnierzykiem. Spoglądając po latach na to zarządzenie władz szkolnych, podzielam w pełni, bowiem większość uczennic i uczniów wywodziła się ze skromnych i biednych domów, a jednokolorowe granatowe chałaty czyniły w szkole wszystkich równymi. Nie było w szkole rewii mody, a uwaga wszystkich skupiała się na nauce.

Kadra nauczycielska była dobra, ofiarna w pracy, byli nauczyciele z doświadczeniem wyniesionym z międzywojnia (Helena Bocheńska, Aleksandra Kozłeczka) i z konspiracyjnego nauczania, jak Franciszek Ceglarski i ks Jan Rachwał, Maria Ociepkowa, Józef Kurtycz. Uczyli dobrze, ale i wymagali. Wymienię niektórych z nich, tych których zapamiętałem: małżeństwo Maria i Tadeusz Brajnerowie, Franciszek Bogacz, Karolina Czulińska, Helena Dziubowa, Jan Jarończyk, Jerzy Ligęza, Józefa Mrukowa, Jadwiga Pawlikowa, Stanisław Ryś, Adam Skrzekut, Aniela Ufniarska, małżeństwo Maria i Klemens Wasilewscy, Adam Wojs.

Warto podkreślić, że i uczennice i uczniowie byli specyficzni. Było to paręnaście lat po zakończeniu wojny, rodziny były wielodzietne, żeby nie powiedzieć niekiedy wręcz biedne, a młodzież skromna, starająca się poprzez naukę i zdobycie intratnego zawodu poprawić swój los w przyszłości. Chcąc uczyć się dalej, należało zdać egzamin do szkoły średniej. Rodzice, którym wojna przerwała naukę, byli niezwykle otwarci na oświatę i naukę, pragnąc dać swoim dzieciom to, czego oni sami nie mogli osiągnąć.

Zaznaczyć należy, że w rodzinach wielodzietnych się nie przelewało. Były to powojenne lata wyżu demograficznego, w których przeważały rodziny wielodzietne (od trójki dzieci w górę). Pamiętam sytuację, kiedy w trakcie przerwy jeden z kolegów jadł kanapkę, przygotowaną w domu i to, jak patrzył na niego jeden ze starszych kolegów z takiej wielodzietnej rodziny. Podszedł do niego pokazując woreczek lniany, w którym znajdowały się suszone dzikie gruszki, mówiąc: może się zamienisz ze mną. Kolega, nie namyślając się długo urwał pół kanapki i dał mu, nie biorąc w zamian gruszek. To były trudne lata, najczęściej w rodzinie pracował jeden z rodziców. W domu, nie otrzymywało się kieszonkowego ani pieniędzy bez ograniczeń, czego nie zrozumie współczesna młodzież.

Znaczącymi postaciami „jedyńki” byli: kierownik szkoły Józef Kurtycz i woźny Jan Wójcik. Kierownik Kurtycz należał do nauczycieli lubiących porządek i dyscyplinę. Ostro reagował na wszelkie uczniowskie przewinienia, ale w gruncie rzeczy lubił uczniów i był do nich przyjaźnie usposobiony. Pamiętam, jak starszych kolegów wychodzących na niezabezpieczoną półkę betonową

► umiejscowioną nad drugim piętrzem, o rozmiarach metr na trzy, strofował, polecając powiadomić o tym rodziców, ale co najważniejsze tłumaczył o konsekwencjach ich czynu, mogących skończyć się kalectwem lub śmiercią, gdyby z niej spadli. Często przychodził do naszej klasy na zastępstwo, gdy nauczyciel był nieobecny, prowadził lekcję, rozmawiał z nami. Miałem możliwość poznać go osobiście, gdy wraz z kuzynem odwiedziliśmy go w domu. Przyjął nas bardzo ciepło, pokazał kolekcje numizmatów, znaczków pocztowych, a na pożegnanie zagrał nam na harfie. Odszedł z funkcji kierownika na rok przed ukończeniem przeze mnie „jedyńki”, zastąpiony przez Franciszka Ziębę. Pozostawił po sobie miłą pamięć i wdzięczność uczniów.

Niemalże „drugą” postacią w szkole po kierowniku był woźny Jan Wójcik. Zawsze obecny wśród uczniów na każdej przerwie. Mieszkał na zapleczu szkoły z matką i siostrą. Przez całe lata nauki w „jedyńce” dzwonek znajdował się na pierwszym piętrze obok pokoju nauczycielskiego. Gdzieś na początku lat 60-tych urwało się serce dzwonka i dlatego należało uderzać w niego metalowym prętem. Jan Wójcik na każdej przerwie, gdy uczennice i uczniowie przebywali na placu przed szkołą, stał w widocznym miejscu, wszystkich obserwując, mając oko na to co się na placu przed szkołą działo. Był wręcz wszędzie tam, gdzie uczniowie. Po jakimś czasie wyciągał zegarek – „cebulę”, wołał jednego z uczniów, każąc mu dzwonić na koniec przerwy. Gromadziliśmy się wokół niego tak, ażeby wybrał któregoś z nas. Mnie też udało się kilka razy być przez niego wybranym. Wręczał mi kawałek bednarki, następnie udawałem się biegiem na piętro, brałem z korytarza drewniany kosz, odwracałem do góry dnem i stojąc na nim tłukłem w dzwonek ile wlezie. Niekiedy nauczyciel wychodził z pokoju nauczycielskiego mówiąc: wystarczy, już wystarczy, nie dzwoń. Dopiero w roku szkolnym 1961/1962 zamontowano w „jedyńce” automat, który dzwonił na przerwy i lekcje.

Woźny Jan Wójcik cieszył się wśród uczniów poważaniem, znał po nazwisku wiele uczennic i wielu uczniów, był samoukiem, obdarzonym licznymi zainteresowaniami, zajmował się fotografią, grał na gitarze, pianinie i niekiedy w zastępstwie organisty na organach w kościele. Dbał o należyty porządek



Budynek szkoły po nadbudowaniu piętra - lata 70-te XX wieku.

w szkole. A przecież miał mnóstwo obowiązków. Wystarczy wspomnieć, że sam przez całe lata palił w piecach szkolnych na wszystkich piętrach. Na zakończenie siódmej klasy zrobił nam na zapleczu szkoły wspólne zbiorowe zdjęcie (niecałej) naszej klasy VIIIb.

Mój pobyt w szkole obfitował w wiele zabawnych sytuacji. Mieliśmy kolegę, który posiadał uszy „ogromne i muskularne”, potrafiąc małżowiny uszne zwinąć i blokować półokrągłym skrawkiem znajdującym się u początku kanału zewnętrznego ucha. Siedział w pierwszej ławce i kiedy w klasie zapadała „grobowa” cisza, „jak makiem zasiał”, nagle napinał mięsień i uwalniał ucho, które dawało słyszalny odgłos: paaak. Towarzyszył temu ryk klasy, której cała uwaga skoncentrowana była na jego uszach. Początkowo nauczyciel nie wiedział o co chodzi, z czasem domyślił się. Kolega ten urządzał też teatr jednego aktora. Kleił z plasteliny figurkę osadzoną na ołówku, którą sterował przez otwór na kałamarz w blacie ławki. Wywoływało to również salwę śmiechu w trakcie lekcji. Swego czasu inny kolega po długiej przerwie siedział w ławce, gdy nagle nauczyciel zauważył, że coś się rusza pod jego bluzą. Podeszedł do niego i polecił mu rozpiąć bluzę i pokazać co pod nią ukrywał. Okazało się, że miał on tam schowane gołębie, które zakupił na jarmarku, bo akurat był poniedziałek. Musiał opuścić klasę wraz z gołębiami.

Na drugim piętrze pod schodami biegnącymi na poddasze znajdował się sklepik uczniowski, w którym sprzedawano artykuły papiernicze, jak zeszyty,

atrament, ołówki. Ja zapamiętałem szczególnie świeże bułki przywożone w trakcie dużej przerwy w cenie 50 groszy za sztukę, których zapach pamiętam do dziś. Szczęśliwy nabywca bułki musiał dzielić się nią z kolegami. Każdy musiał ugryźć kęs, tak że niekiedy niewiele właścicielowi pozostawało. W szkole działała też Szkolna Kasa Oszczędności, w której składaliśmy swoje drobne oszczędności, ucząc się gospodarowania pieniędzmi. Przypominam sobie, że w szkole prowadzono akcję dożywiania prowadzoną przez fundacje amerykańskie.

Pod koniec siódmej klasy w zwyczaju nauczycieli wychowawców klas było zadawanie pytania poszczególnym uczniom: kim chciałbyś zostać? Uczniowie wymieniali zawody, które im się podobały, w kierunku których chcieliby się dalej uczyć. Jeden z uczniów zapytany, kim chciałby zostać, bez zastanowienia się odpowiedział: konwojentem bydła. Był to niewątpliwie efekt oglądanych przez niego westernów.

Zmiana kierownika szkoły na rok przed jej ukończeniem, rozrastające się oddziały klas z powodu wyżu demograficznego, kończyły dla mnie okres rodzinnej atmosfery szkoły. Odchodząc z „jedyńki”, zabrałem ze sobą wspomnienia wielu przeżytych w niej niepowtarzalnych chwil, które mimo upływu wielu lat, towarzyszą mi, aż do dziś.

Fotografie: arch.: Jerzego Wojtasa, albumu „Okruchy pamięci”

Jak szybko mija czas...



Przed Liceum Ogólnokształcącym. Stoją od lewej: Józef Bugajski, Andrzej Matuszewski, Janusz Kloss, Antoni Dębski, Tomasz Biedroń, Andrzej Czaja, Ryszard Leśniak, Ludomir Dutka, Janusz Włodarczyk, Andrzej Ślęzak, Grzegorz Czechtówka, Anna Mruk, Jerzy Wojtas, Ewa Kempny-Watycha, Józef Zięba, Grażyna Mąka-Stachnik, Piotr Chmiel, Urszula Sułkowska, Józef Kowalczyk, Stanisława Kuzar-Sowa, Józef Cieślak, Maria Gołąb, Władysław Majka, Zofia Golińska, Antoni Mizgała.

W słonecznym dniu 21 czerwca 2018 roku, 50 lat po zdaniu matury w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej, spotkali się absolwenci z klasy 11c, której wychowawcą był dr Piotr Chmiel. Wprawdzie nasza licealna klasa wierna tradycji, spotykała się z reguły co cztery lata, jednak obecny zjazd należał do wyjątkowych, z racji okrągłej rocznicy związanej z uzyskaniem świadectwa dojrzałości. Frekwencja również dopisała. Na 30 osób zdających maturę w 1968 roku, przybyły 22, 3 osoby nie żyją, zaś 5 z różnych powodów nie przyjechało. Do naszego grona dołączyło dwóch kolegów absolwentów z byłej licealnej klasy 11a. Popularność naszych klasowych spotkań, w których bierze udział większość koleżanek i kolegów ma swoją przyczynę m.in. w tym, że trzon klasy 11c stanowili absolwenci limanowskich szkół podstawowych, a szczególnie limanowskiej „jedyńki”, a więc znających się jeszcze z podstawówki.

Tradycyjnie uczestnicy zjazdu spotkali się na mszy w Bazylice, a następnie przeszli na cmentarze: parafialny i komunalny. Przystając przy grobach zmarłych uczennic, uczniów i nauczycieli, w ciszy i skupieniu oddano się chwilowej zadumie nad ludzką egzystencją, kruchością życia, doczesnością i przemijaniem. Na grobach zapłonęły

znicze pamięci dla tych, którzy odeszli, a niegdyś współtworzyli naszą wspólnotę klasy 11c. Oddając im hołd, staraliśmy się wykazać jak ważna jest dla nas przeszłość i ludzie, którzy mieli wpływ na naszą przyszłość.

Wreszcie liceum. Po przekroczeniu „bram” liceum, każdy z osobna został powitany przez obecną dyrektorkę mgr Annę

Mruk, następnie zostaliśmy zaznajomieni z funkcjonowaniem Liceum i osiągnięciami uczniów, a także oprowadzeni po szkole zmienionej nie do poznania. Przemierzając korytarze, każdy z nas sięgał pamięcią w przeszłość, gdy był uczniem liceum, myśląc o koleżankach i kolegach tych nieobecnych, których już nie ma wśród nas. Byliśmy w nowej sali gimnastycznej, a następnie w starej, gdzie przystaliśmy, wspominając egzamin dojrzałości, który na tej sali pisaliśmy. Z zacięciem przyglądaliśmy się obecni na sali gimnastycznej uczniowie, my zaś patrząc na nich myśleliśmy, czy przed ponad 50-cio laty byliśmy chociaż trochę do nich podobni.

W końcu znaleźliśmy się w klasie przygotowanej dla nas przez panią dyrektorkę, która powitała nas bardzo serdecznie, podziękowała za pamięć o szkole, za nasze przybycie, życząc nam zdrowia ►



W budynku LO. Stożą od lewej: I szereg: Józef Bugajski (11a), Urszula Sułkowska, Janusz Włodarczyk, dyrektor Anna Mruk, Tomasz Biedroń, Janusz Kloss, Andrzej Matuszewski. II szereg: Antoni Dębski, Grażyna Mąka-Stachnik, Ryszard Leśniak, Andrzej Ślęzak. III szereg: Ewa Kempny-Watycha, Stanisława Kuzar-Sowa, Maria Gołąb, Zofia Golińska, Józef Cieślak, Antoni Mizgała, Józef Zięba, Józef Kowalczyk. IV szereg: Grzegorz Czeczotka, Jerzy Wojtas, Andrzej Czaja, dr Piotr Chmiel, Władysław Majka, Bronisław Szumilas (11a)

► i pomyślności na dalsze lata, zapraszając nas do odwiedzenia liceum, kiedykolwiek znajdziemy się w Limanowej. W podziękowaniu za miłą atmosferę i przyjęcie jeden z kolegów w naszym imieniu wręczył pani dyrektor bukiet kwiatów.

Gdy zostaliśmy sami w klasie, inicjatywę przejął nasz były wychowawca dr Piotr Chmiel, który w przeciwieństwie do ubiegłych lat, nie wywoływał każdego z nas do opowiedzenia o sobie, lecz przedstawił swoją przygodę z nauczaniem, rozpoczętą wkrótce po ukończeniu studiów w Uniwersytecie Jagiellońskim, pracą i wychowawstwem 11c w limanowskim liceum. Podkreślił, że nie tylko nas uczył, ale i sam się uczył i nabywał doświadczenia w postępowaniu z młodzieżą. Opowiedział też o swojej karierze po odejściu z liceum, pracy nauczyciela akademickiego na wyższych uczelniach, prowadzonej za granicą i w Polsce, trwającej aż do dziś. A na dowód, że daje mu ona satysfakcję i cieszy się poparciem i uznaniem wśród studentów, przedstawił wyniki ankiety przeprowadzonej wśród nich poświęconej jego osobie i przedmiotom, które wykłada na germanistyce na jednej z wrocławskich uczelni.

Nie obeszło się bez wspomnień o nauczycielach, którzy odcisnęli swoje piętno

na wielu z nas. Do nich należeli prof. prof. Józef Staniszewski, Andrzej Gibas, Barbara Salawa i ks. dr Stanisław Mlyczyński, no i oczywiście nasz wychowawca dr Piotr Chmiel. Podkreślano ich wiedzę i solidne nauczanie, ale i również postawy, którymi dawali nam przykład. Przywołano pamięć o Józefie Staniszewskim, który poza wiedzą zaszczepił wśród nas miłość do turystyki, do gór i wędrówek po nich, do fotografii, do dostrzegania piękna przyrody i szacunku dla niej. Wraz z nim i Andrzejem Gibasem wielu z nas przemierzało górskie szlaki, nie tylko Beskidu Wyspowego w trakcie organizowanych obozów wędrownych, czy też rajdów.

Ostatni etap spotkania odbył się w restauracji przypominającej schronisko górskie pod Łysą Górą. Pięknym widokom przy pięknej pogodzie towarzyszyła równie dobra kuchnia, miła obsługa i dobre humory. W trakcie prowadzonych rozmów ponownie spotkały się przeszłość z teraźniejszością. Dominowały wspomnienia z lat spędzonych w liceum. W tej sentymentalnej podróży w przeszłość, był czas na refleksję o tym, co było i o teraźniejszości, o pracy, o domu, rodzinie, wnukach i wnuczkach. Swoją obecnością na spotkaniu po latach, daliśmy przykład

tego, jak ważny jest szacunek dla ludzi i miejsc, wśród których dorastaliśmy i dojrzewaliśmy. W końcu na stole pojawił się rocznicowy tort z okazji 50-lecia zdania matury z dwoma świeczkami, zdmuchniętymi przez naszego wychowawcę dr. Piotra Chmiela, po wcześniejszym odśpiewaniu mu tradycyjnego sto lat. I tak przy miłej atmosferze i towarzyszącej nam pięknej pogodzie mijają wspólnie spędzony czas.

A czas jest jak rzeka – nieubłagany dla każdego z nas, dlatego tak ważne jest celebrowanie takich spotkań. Wzorem ubiegłych lat przyrzekaliśmy sobie, że będziemy się spotykać nadal w naszym gronie, przynajmniej co cztery lata, a może nawet częściej. Oczywiście, jak zdrowie dopisze i jak dożyjemy. Spotkanie trwałoby dłużej, ale nadciągająca burza, a wraz z nią silny wiatr i deszcz wymusiły „ewakuację” z restauracji. Postanowiono spotkać się za rok, w rocznicę 55-lecia rozpoczęcia nauki w Liceum Ogólnokształcącym. A więc koleżanki i koledzy z 11c do zobaczenia za rok!

Fotografie: Michał Wojtas

Inżynier Józef Marek – poeta czynu

Przemysław Bukowiec

3 czerwca 1958 r. odszedł inż. Józef Marek, twórca spółdzielczości na Ziemi Limanowskiej. W tym roku upłynęło 60 lat, od kiedy serce podhalańskiej spółdzielczości zabiło po raz ostatni. Z tej okazji XXVII Dni Tymbarku zainaugurowano konferencją poświęconą promocji biografii inż. Józefa Marka autorstwa tymbarskiego regionalisty, Stanisława Wcisło.

Inż. Józef Marek urodził się 17 marca 1900 r. w Budzowie, nieopodal Kalwarii Zebrzydowskiej na Ziemi Beskidu Makowskiego. Budzów wówczas leżał na obszarze powiatu myślenickiego. Józef miał braci Ludwika i Karola. Ojciec był gajowym i zmarł przedwcześnie w wieku 33 lat. Chłopcy wkrótce przenieśli się do rodzinnej miejscowości matki – do Skawinek, między Lanckoroną i Kalwarią. Pomimo ciężkich warunków bytowych, Józef ukończył szkołę powszechną w Lanckoronie. Kierownik szkoły Józef Lorenz zaszczerpił w Józefie pasję do sadownictwa i pszczelarstwa, co jak widać z przebiegu życiorysu stanowiło impuls do dalszego kierunku kształcenia. Józef kontynuował naukę w Gimnazjum w Wadowicach – mieszkając u wuja Pękali w Kleczy.

Legionowe tradycje

Według różnych ustnych relacji rodziny, Józef przerwał edukację w 1916 r. Na dokumencie ukończenia Gimnazjum jest podana data: [...] 20 XII 1917 r. do 20 X 1919 r. Służba w Polskim Korpusie Posiłkowym [...]. Jak wyglądał życiorys młodego Józefa? Losy Wielkiej Wojny w 1916 r. ważyły się między mocarstwami. Do zwycięstwa potrzeba było pozyskania narodów, które dotychczas nie posiadały swojej państwowości, a znajdowały się pod zaborami m.in. Polacy. 5 listopada 1916 r. rządy Niemiec i Austro-Węgier ogłosiły „Akt 5 listopada” zwany „Manifestem dwóch cesarzy”. Celem było definitywne pozyskanie Polaków do walki z Rosją oraz złożenie przysięgi na wierność cesarzom Niemiec i Austro-Węgier. W zamian zaborcy składali mgliste obietnice utworzenia z odzyskanych ziem w wojnie z Rosją, nowego państwa polskiego, bez określonych granic w stałym sojuszu z Niemcami i Austro-Węgrami. W 1917 r. zaborcy utworzyli

Polski Korpus Posiłkowy, do którego mieli być włączeni żołnierze Legionów Polskich. W tym samym roku większość legionistów odmówiła złożenia przysięgi na wierność cesarzom Niemiec i Austro-Węgier. I i III Brygada Legionów zostały zlikwidowane, żołnierze internowani, a Józef Piłsudski aresztowany, następnie osadzony w więzieniu w Magdeburgu. Następuje tzw. „Kryzys przysięgowy”. II Brygada gen. Józefa Hallera składa przysięgę i zostaje włączona do Polskiego Korpusu Posiłkowego. Jesienią część oficerów i żołnierzy na znak protestu przekracza linie frontu, dołączając do II Korpusu Polskiego w Rosji.

Od 20 stycznia 1918 r. do 2. Pułku Artylerii w II Brygadzie Legionów zostaje przydzielony Józef Marek. Na początku lutego sytuacja polityczna się zmienia. Niemcy i Austro-Węgry zawierają pokój z Ukraińską Republiką Ludową, dzieląc polskie ziemie w tym Galicję Wschodnią.



Józef Marek - fotografia z indeksu studenckiego. Fot. ze zbiorów J. Pióro



Józef Marek - fotografia z 1925 r. Fot. ze zbiorów J. Pióro

Żołnierze Polscy protestują, przekraczają front pod Rarańczą. Tym, którym nie udało się przedostać na ziemie rosyjskie grozi internowanie, wcielenie do armii C.K. i wysłanie do obozów w Maramuresz Siget, a następnie na front włoski. Józef Marek zostaje osadzony w obozie internowania. Jesienią wraz z upadkiem Austro-Węgier, internowani i przymusowo wcieleni Polacy wracają do kraju. Józef Marek był wśród nich. Bierze udział w walkach w rejonie Lwowa między październikiem i grudniem 1919 r. Ponownie wraca do wojska i zgłasza się jako ochotnik w lipcu 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej, służąc do końca października.

Edukacja i limanowska bieda

Po odzyskaniu przez państwo polskie niepodległości oraz zakończeniu walk o granice, Józef Marek przystępuje do kontynuowania edukacji. Ostatecznie rozpoczyna studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Rolnictwa i Ogrodnictwa. Studia kończy w 1926 r., uzyskując tytuł inżyniera. W tym samym czasie przedstawiciel Rady Powiatowej w Limanowej, Antoni Górszczyk poszukuje wśród absolwentów UJ instruktora sadownictwa. W czasie spotkania z prof. Brzezińskim na zadane pytania słyszy następującą odpowiedź: [...] *Jest tu taki* ▶

rzetelny, młody inżynier, który jada, jak ma co jeść, śpi jak ma czas spać, a zawsze coś robi. Nazywa się Marek. Gdyby chciał iść, mielibyście z niego wielką pociechę. Dużo mógłby zrobić [...]. I tak doszło do sprowadzenia inż. Marka na Ziemię Limanowską. Początki pracy instruktora sadownictwa były ciężkie. Galicyjska bieda, ubóstwo, karłowate gospodarstwa, przeludnienie, wyjałowiona gleba, brak nowatorskich metod uprawy roli i inne czynniki, które stanowiły przeszkodę w rozwoju sadownictwa. Inżyniera Marka w czasie wędrówki przez wsie Beskidu Wyspowego szczególnie poruszyła bieda, której w tak szerokim rozmiarze dotąd nie wiedział. Wszystko to doprowadziło do tego, że Marek nosił się z możliwością porzucenia stanowiska i wyjechania do innego powiatu.

Wówczas spotkał i poznał inż. Józefa Drożdża, który był zwolennikiem idei rozwoju rolnictwa w regionie na wzór piętrowych szwajcarskich gospodarstw. Inż. Marek zostaje przekonany do podjęcia współpracy, co owocuje jego zatrudnieniem na etacie nauczyciela w Górskiej Szkole Rolniczej Męskiej w 1929 r. W tym samym czasie Józef Marek w czasie beskidzkich wędrówek dotarł do Poręby Wielkiej, gdzie poznał Władysława Orkana. Prowadził z nim wielokrotne dysputy na temat biedy i metod walki z nią na pograniczu Beskidu Wyspowego i Gorców. Józef Marek zawiera związek małżeński z Heleną Kramer. Zakłada własną szkołę drzewek owocowych. Za pośrednictwem szkoły, edukacji w praktyce promuje nowe rodzaje uprawy roli, sadownictwa. Promuje gospodarzkę piętrową.

Spółdzielnia owocarska

Choć początki na Ziemi Limanowskiej sięgały czasów dawnej monarchii C.K., to jednak największy rozkwit gałęzi regionalnej gospodarki przypadł na lata dwudzieste i trzydzieste XX wieku. Pomysł utworzenia Spółdzielni Owocarskiej zrodził się w głowie inż. Marka po analizie sytuacji w sadownictwie na terenie powiatu. Do tej pory problem sprzedaży owoców dotyczył braku zorganizowanego pośrednictwa. Handlem zazwyczaj trudniło się kilkanaście rodzin żydowskich. Panowała spekulacja cenowa ze stratą dla sadowników. Brak było zorganizowanej struktury gospodarczej, która objęłaby opieką pośrednictwo w handlu owocami, szczególnie wśród małorolnych chłopów.



Na jednej z uroczystości w Łososinie Górnej inż. Józef Marek stoi pośrodku, obok ks. prałata Kazimierza Łazarski. Fotografia z lat międzywojennych. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”



Kurs gotowania dla dziewcząt z Łososiny Górnej i okolic. Od lewej siedzą: prof. Leonchard, inż. Józef Marek - 1937 rok. Fot. arch. Izby Pamięci przy szkole w Łososinie Górnej

Najkorzystniejszym miejscem na powstanie Spółdzielni okazał się Tymbark. W tym galicyjskim miasteczku od dobrych kilku lat z powodzeniem rozwijały się: Spółdzielnia Mleczarska, Kółko Rolnicze, Spółdzielcza Kasa Stefczyka. Pierwsze plany utworzenia Spółdzielni pojawiły się w 1934 r. Konsultacje z inż. Drożdżem oraz plan zagospodarowania „Owocarni” przedstawiono władzom powiatu w 1935 r. Zebrania założycielskie odbywały się w latach 1935-1936. Wówczas pojawiła się koncepcja rozszerzenia działalności. Celem było uzyskanie korzyści z uprawy drzewek owocowych poprzez skup i sprzedaż owoców deserowych, ponadto sprzedaż owoców przejrzałych nadających się do przetwórstwa na soki, marmoladę, dżem, wino, itp. Ostateczna rejestracja nastąpiła w Sądzie w Nowym Sączu w 1937 r. Mimo ciągle wydłużających się problemów z rejestracją, pierwsze

próby przechowywania owoców miały miejsce w użyczonych magazynach Spółdzielni Mleczarskiej w Tymbarku. Na czele Zarządu stanęła dziedziczka tymbarskiego dworu, Zofia Turska, która udzieliła możliwości zakupu oraz wymiany parceli, przylegającej do traktacji kolejowej. Dzięki motywacji inż. Marka do pracy włączyli się przedstawiciele tymbarskiego społeczeństwa wywodzący się z różnych grup społecznych. Pomimo znacznych trudności finansowych pierwszy budynek produkcji i administracji został oddany przed 1939 r. Drugi budynek produkcji i przetwórstwa powstał w latach 1940-1943. W 1938 r. Minister Rolnictwa i Reform Rolnych, Juliusz Poniatoński zatwierdził program rozwoju gospodarki piętrowej dla rolnictwa – obszarem eksperymentalnym został powiat limanowski. Bieg śmiałych reform zastopował wybuch wojny.



Przed budynkiem Szkoły Górskiej w Łososinie Górnej. Inż. Józef Marek siedzi pierwszy z prawej - lata międzywojenne. Fot. arch. albumu „Okrucy pamięci”



Inż. Józef Marek w czasie prac przy budowie „Owocarni”. Fot. ze zbiorów MRZL



Podhalańska Spółdzielnia Owocarsko-Warzywnicza, fotografia z 1944 r. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

Wojna i okupacja niemiecka

Wybuch wojny w 1939 r. zmusił kierownictwo „Owocarni” do zmiany kierunku działalności z uwzględnieniem potrzeb mieszkańców Limanowszczyzny. W skład ścisłego Zarządu Spółdzielni wchodził: inż. Józef Marek, dr Józef Macko, mgr Józef Kulpa. Do najważniejszych zadań zakładu należały: pomoc polskim oficerom i żołnierzom, przyjęcie, zatrudnienie i opieka dla Polaków wysiedlonych z Wielkopolski, Pomorza i Śląska. Produkcja żywności w ramach wspierania Rady Głównej Opiekuńczej. Wspieranie oraz udział w rozwoju tajnego nauczania na obszarze Podhala. Rozbudowa infrastruktury zakładu, rozwój przetwórstwa owocowo-warzywnego. Pomoc dla cywilnej i wojskowej działalności konspiracyjnej Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Najważniejszą jednak cechą było stworzenie wokół „Owocarni” ośrodka kształtowania wartości patriotycznych. Od 1942 r. inż. Józef Marek pod pseudonimem „Lanca” pełnił funkcję Powiatowego Delegata Rządu Rzeczypospolitej na Kraj, czyli funkcję „podziemnego” starosty. Do szczególnego przykładu wrażliwości inż. Marka na ludzką biedę było zdarzenie, gdzie dopiero co odebraną miesięczną pensję z „Owocarni” szedł rozdawać potrzebującym rodzinom – takiej był natury.

W walce z niemieckim okupantem była zaangażowana miejscowa ludność, ponosząc ofiary za pracę w konspiracji. Jedną z tragicznych kart historii była obława przeprowadzona przez Gestapo w Tymbarku w nocy z 2 na 3 lipca 1944r. Wówczas aresztowano 37 osób w tym inż. Marka. Interwencja dr. Macko oraz działaczy spółdzielczych w Krakowie u władz niemieckich doprowadziła do zwolnienia części pracowników „Owocarni”. Niestety Niemcy 17 lipca 1944r. przeprowadzili egzekucję 32 osób w Słopicach Dolnych, w tym zginęły 4 osoby aresztowane dwa tygodnie wcześniej związane z „Owocarnią”. Odtąd inż. Marek ukrywał się do końca niemieckiej okupacji.

Nowa rzeczywistość

Po przejściu frontu, inż. Marek przystąpił do ponownego uruchomienia „Owocarni”. Napraw wymagały urządzenia, częściowo zniszczone przez Niemców w drugiej połowie 1944 r. ►

► Pierwszą produkcję uruchomiono jeszcze w lutym 1944 r. Celem inż. Marka była odbudowa zakładu oraz zwiększenie areálu pod szkółki drzewek owocowych. Nowa sytuacja polityczna umożliwiła przejście przez „Owocarnię” kilku zakładów na tzw. „Ziemiach Odzyskanych”. Wreszcie w 1948 r. otwarto Spółdzielcze Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego II stopnia. Absolwenci nowo powstałej szkoły mieli stanowić średnią kadrę kierowniczą w zakładach produkcyjnych i instytucjach handlowych z zakresu branży owocowo-warzywnej.

Tymczasem sfalszowane referendum w 1946 r. oraz wybory do parlamentu w 1947 r., pozwoliły władzy komunistycznej rozpocząć gruntowne czystki i prześladowania byłych żołnierzy konspiracji, szczególnie wywodzących się z Armii Krajowej. Część członków konspiracji została skazana na wieloletnie więzienia, tortury, wywózki na Syberię oraz nieustanną inwigilację, zwolnienie z pracy, zakaz zatrudnienia w miejscu zamieszkania. Nacjonalizacji i upaństwowieniu podlegały wszystkie zakłady przemysłowe i spółdzielcze. Podobny los spotkał tymbarską „Owocarnię”, która 1 stycznia 1950 r., została upaństwowiona. Inżyniera Marka w sposób brutalny pozbawiono wpływu na pracę zakładu. Symbolem poniżenia założyciela Spółdzielni był zwrot Jego udziałów jako członka zakładu. Burzliwe wydarzenia opisał w swojej kronice inż. Antoni Batorski, opisując całą sytuację jako: „Ostatni Sejm Rzeczypospolitej Spółdzielczej w Tymbarku”. Bardzo ciekawą relację i komentarz opisuje świadek tamtych wydarzeń, regionalista, Stanisław Wcisło. W swojej publikacji o inż. Marku przywołuje wspólną podróż z Józefem Markiem, w czasie której poruszony założyciel Spółdzielni ze łzami w oczach tak odniósł się do krzywdy wyrządzonej mu przez ludzi: [...] *Kwordy naród, mówię ci chodok, kwordy [...]*.

Krzywda inż. Marka

Inż. Marek nie porzucił swojej idei spółdzielczości na Ziemi Limanowskiej. W latach 1950-1956 podjął się rozbudowy kompleksu szklarni oraz rozwoju edukacji ogrodniczej w Mszanie Dolnej. Utworzył winiarnię w Mszanie Dolnej. Zbudował stację PKP w Piekiełku. Utworzył wytwórnię prefabrykatów i materiałów budowlanych w Tymbarku.

Był inicjatorem powstania Spółdzielni letniskowo-uzdrowskiej im. Władysława Orkana w Porębie Wielkiej.

W 1955 r., w tygodniku „Świat” ukazał się artykuł: „Krzywda inż. Marka” opisujący tragiczne losy inicjatora „Owocarni” w czasach niemieckiej okupacji i stalinizmu. Sam zainteresowany po zapoznaniu się z treścią tak miał ją skwitować: [...] *Nie dbam o siebie i bardziej bym się cieszył, gdyby została naprawiona krzywda jaką wyrządzono Spółdzielni i całemu powiatowi [...]*. Polityczna „odwilż” w październiku 1956 r. oraz przejęcie władzy w kraju przez stronników Władysława Gomółki doprowadziły do rewizji polityki władz komunistycznych z okresu stalinizmu. W 1957 r. inż. Józef Marek za namową współpracowników kandyduje w wyborach do Sejmu PRL, uzyskując mandat posła.

Gdy serce podhalańskiej ziemi przestaje bić – relacje świadka historii

W 1958 r. z inicjatywy inż. Marka następuje uruchomienie pod dawną nazwą Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej tym razem z siedzibą w Limanowej, w budynkach dawnego browaru. W skład zakładu włączono gospodarstwo ogrodnicze w Mszanie Dolnej. Na początku czerwca inż. Marek trafia do szpitala. Życie w stałym napięciu oraz poświęcenie spółdzielczej i społecznej działalności przedwcześnie zebrały tragiczne żniwo. 3 czerwca 1958 r. inż. Józef Marek umiera.

Serce podhalańskiej ziemi przestaje bić. Ostatnie pożegnanie inicjatora spółdzielczości zgromadziło rzesze mieszkańców Ziemi Limanowskiej i Podhala. Pogrzeb odbył się 6 czerwca 1958 r. Inż. Józef Marek został pochowany na cmentarzu parafialnym w Tymbarku. Idea pracy spółdzielczej inż. Józefa Marka przetrwała w pamięci mieszkańców Ziemi Limanowskiej w postaci różnych form upamiętnienia tej wyjątkowej postaci.

W sposób szczególny sylwetkę niezłomnego społecznika nakreślił tymbarski regionalista, Stanisław Wcisło. „Inż. Józef Marek” – zwięzła, treściwa publikacja obfituje w anegdoty, elementy gwary, ciekawostki, a przede wszystkim jest to doskonały przykład historii ożywionej, przedstawionej przez świadka historii, jakim jest Autor. Na koniec warto zagłębić się we wspomnienie z kart kroniki poświęconej pamięci inż. Marka i Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej autorstwa mgr. Józefa Kulpy z 1978 r.: [...] *Orkan czar i piękno a zarazem biedę jego ludzi przedstawił słowem – piórem, Marek zaś z tą biedą walczył. W trudzie i znoju przeistaczał tę ziemię – wraz z jej ludem – w piękniejszą i zamożniejszą. Orkan poeta słowa. Marek poeta czynu [...]*.

Artykuł powstał na podstawie materiałów ze zbiorów Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej oraz publikacji: dr Józef Macko, „Góry zakwitną sadami”; Antoni Batorski, „Kronika Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzynowego w Tymbarku”; Stanisław Wcisło, „inż. Józef Marek”.



Pogrzeb inż. Józefa Marka - 6 czerwca 1958 r. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

Na kanwie jednego obrazu

W maju bieżącego roku odbył się V Spacer Historyczny po Limanowej, który zaprowadził wielu mieszkańców miasta i przybyłych gości do Muzeum Parafialnego.

W owym Muzeum można podziwiać znaczną część zbiorów zgromadzonych przez J.E. Ks. biskupa Piotra Bednarczyka, kolejnych prałatów naszej świątyni (Ks. Ks. Kazimierza Łazarskiego, Ludwika Kowalskiego i Józefa Porębę) oraz różnych darczyńców, czasami nie związanych nawet z naszą bazyliką i parafią.

Bogactwo i różnorodność zebranych eksponatów ogromna.

Ze względu na małą powierzchnię ekspozycyjną można zobaczyć tylko część zgromadzonych skarbów. Reszta czeka w magazynie na uzyskanie większej powierzchni wystawowej lub powstanie nowego obiektu.

Znaczna część ekspozycji to obrazy malowane na zamówienie, inne powstały z potrzeby serca.

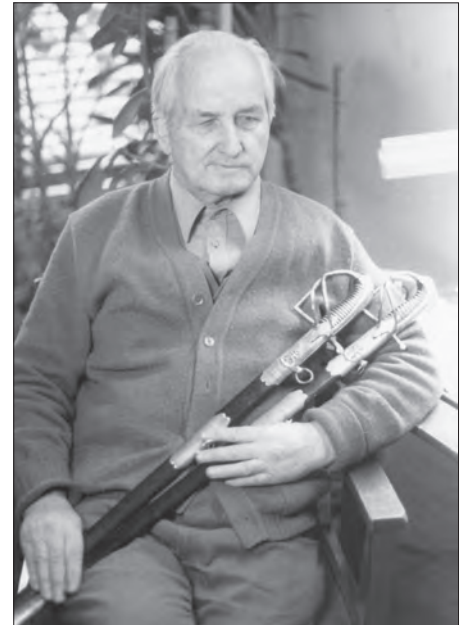
Do tych drugich należy na pewno olejne malowidło Wincentego Gawrona w pierwotnym zamyśle zatytułowane „Ksiądz Kazimierz Łazarski prowadzi parafian do Chrystusa”. Później artysta zmienił podpis na obecny – „Ksiądz Kazimierz Łazarski prowadzi limanowian

oraz żołnierzy I i II wojny światowej do Chrystusa”.

Nikt z rodziny malarza nie pamięta, co wpłynęło na zmianę tytułu.

Na temat tego właśnie obrazu pragnę zabrać głos, aby wyjaśnić okoliczności jego powstania i przedstawić intencje, które kierowały artystą. Wymienione dzieło było bowiem wyrazem wdzięczności Wincentego Gawrona złożonym Księdzu Prałatowi Kazimierzowi Łazarskiemu „za królewski pogrzeb” zorganizowany jego Matce – Annie Gawron, długoletniej towarzyszce życia Jana Gawrona, starowiejskiego wójta stającego zawsze odważnie w sprawach wiejskiego ludu.

Ksiądz prałat Kazimierz Łazarski doskonale pamiętał o tym, jakim zacnym



Wincenty Gawron (1908-1991)

parafianinem był Jan Gawron, który wszystko czynił zgodnie ze swoim sumieniem i poczuciem sprawiedliwości. To On, Jan Gawron zadbał o to, by wszyscy żołnierze, którzy oddali życie w „Bitwie



Ks. Kazimierz Łazarski prowadzi limanowian oraz żołnierzy I i II wojny światowej do Chrystusa.

► o Wzgórze Jabłoniec” (8 – 12 XII 1914 r.) znaleźli godny pochówek, bez względu na narodowość i wyznanie.

To On, wzorowy gospodarz, wójt jednej z największych wsi limanowskiego powiatu walczył z lichwiarzami, którzy najpierw udzielali gospodarzom pożyczek na wysoki procent, a potem, gdy nie mogli w terminie oddać długu, sprzedawali ich dobytek, robiąc z poprzednich właścicieli wolnych najmitów. To wreszcie On odbierając od rolników kolejne raty podatków, wypraszał od wpłacających składki na budowę nowej świątyni i w każdym tygodniu odnosił je na plebanię, by zasilić chociaż skromnie tę ważną inwestycję.

Jan Gawron mógł poświęcić tak wiele czasu sprawom społecznym, bo ciężar wychowania sporej gromadki dzieci przejęła jego żona Anna. Dobrze wywiązała się z podjętego zadania, bo wyrosły na prawych ludzi. Jan odszedł do wieczności 6 lat wcześniej. Teraz przyszedł czas na Annę.

Wincenty Gawron mieszkający wówczas w stolicy na wiadomość o ciężkiej chorobie ukochanej matki przyjechał do rodzinnego domu, by ostatnie tygodnie spędzić z Tą, której tak wiele zawdzięczał. Był z nią, pielęgnował, dodawał otuchy i ciągle wierzył, iż uda się przedłużyć jej życie. Niestety, nieuleczalna choroba spowodowała zgon. Odeszła w pierwszych dniach lipca 1940 roku. Kiedy załamany udał się do ks. Prałata, by prosić o pochówek, ten znając całą rodzinę, popatrzył na niego i powiedział: „*Nie martw się. Uczynię wszystko, by godnie pożegnać twoją matkę w podzięce za to wszystko, co ona, jej rodzina i ty uczyniliście na chwałę świętej wiary i naszej świątyni*”.

Rzeczywiście uroczystość pogrzebowa mimo wojny, grożącego zewsząd niebezpieczeństwa, braku dzwonów zarekwirowanych przez okupanta, była imponująca i na długo pozostała w pamięci tych, którzy w niej uczestniczyli.

Orszak pogrzebowy prowadziło kilku kapłanów, w tym dwóch z sąsiednich parafii. Ksiądz prałat żegnał zmarłą w kościele i na cmentarzu.

Za to pożegnanie Matki, za słowa wygłoszone przy Jej mogile, syn postanowił podziękować zacnemu Duszpasterzowi tym, w czym był najlepszym, w malarstwie.

Zaraz po powrocie z uroczystości zabrał się do pracy. Udał się do swej siostry Marii Biernat mieszkającej w Mordarce, rozłożył sztalugi i w ciągu 2 tygodni obraz znajdujący się obecnie w Muzeum Parafialnym w Limanowej był gotowy.



Grób Wincentego Gawrona w kwaterze wojskowej na cmentarzu parafialnym w Limanowej

Pod koniec lipca 1940 r. wręczył go Ks. prałatowi Łazarskiemu, który polecił umieścić go na ścianie w swoim pokoju. Lubił na niego spoglądać i wspominać całe swoje życie, smutne, sieroce dzieciństwo, różne zawirowania losu, trudy i dokonania w obecnej parafii.

Żegnając się z Wincentym Gawronem, powiedział jeszcze: – Oszczędzaj siły, bo dużo jeszcze przed tobą pracy. Będziesz mi bardzo potrzebny. Brakuje, jak widzisz, witraży i myślę, że ty je wykonasz, ale to już pewno po wojnie, bo modłę się o to i wierzę, że ona szybko się skończy.

Artysta wziął sobie do serca słowa duszpasterza, wrócił do domu siostry i mimo zaangażowania w rozwijającą się działalność konspiracyjną, wykonał projekty brakujących witraży i przedstawił je księdzu proboszczowi. Po akceptacji przystąpił do ich opracowania.

Było to ogromnie trudne zadanie ze względu na prymitywne warunki pracy, brak jakichkolwiek udogodnień, nawet stołów potrzebnych do rozłożenia kolejnych plansz. Wincenty Gawron zabrał się jednak do realizacji zamiaru z takim entuzjazmem, że nic mu nie zdołało

przeszkodzić. Chciał wykorzystać słoneczne światło i wciąż jeszcze „długie” sierpniowe dni.

Gdy projekty witraży były gotowe, ich realizacji podjął się, również z narażeniem życia, właściciel warsztatu szklarskiego p. Kaim.

Tego już jednak artysta nie zobaczył, choć bardzo pragnął. Przewidywał, że tak może się stać, bo podjęta walka z potężnym wrogiem była bardzo niebezpieczna. Przekonanie, że coś złego go spotka i nie zdąży zrealizować zamierzeń, towarzyszyło mu coraz częściej. Zdążył.

Nieszczęście przyszło w styczniu 1941 roku. Zadenuncjowany przez limanowiankę, gestapowską „wtyczkę” w konspiracyjnej organizacji, został aresztowany i przewieziony do gestapo w Nowym Sączu. Tam w czasie przesłuchań i ogromnych tortur, uszkodzono mu krtań, usiłując zmusić go do zeznań dotyczących organizacji i osób należących do niej oraz planów walki. Mimo grożącej śmierci nikogo nie wydał. Następnym etapem było więzienie w Tarnowie, a w marcu tegoż roku był już tylko numerem 11 237 w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

Obraz ofiarowany przez Wincentego Gawrona Ks. prałatowi Kazimierzowi Łazarskiemu miał dalszą historię.

Wojna ciągle trwała. Ksiądz prałat Łazarski tak bardzo oczekujący jej zakończenia tracił siły i nadzieję. Kiedy już był bardzo chory i czuł, że odchodzi, otrzymany od artysty dar sprezentował Ks. Janowi Rachwałowi wiedząc, że łączy go z Wincentym Gawronem ogromna przyjaźń. Stało się to jesienią 1944 roku. W listopadzie tegoż samego roku sędziwy kapłan odszedł do wieczności, nie doczekawszy się końca okupacji.

Przyjaźń ks. Jana Rachwała z Wincentym Gawronem trwała „aż po grób”. To jemu ze zwykłej potrzeby serca podarował artysta kilka obrazów. To jego gościł w swoim domu w Chicago i wprowadził w społeczność polonijną, gdy przyjechał, aby zdobyć fundusze na uroczystości koronacyjne Matki Bożej Bolesnej. To jemu składał wizyty, gdy odwiedzał swe rodzinne strony. Serdeczne więzi przerwało niespodziewane odejście Wincentego do innego świata w czasie pobytu w Ojczyźnie 25 sierpnia 1991 roku.

Wzruszającą mowę pożegnalną wygłosił wówczas jego serdeczny przyjaciel, przypominając Jego zasługi położone dla Kościoła, Miasta i Kraju.

Dzięki wielkoduszności Ks. Prałata Józefa Poręby, który docenił zasługi dawnego parafianina, Wincenty Gawron spoczął na małym wojskowym cmentarzyku żołnierskim z 1914 roku. Leży wśród „swoich”, wśród tych, których zawsze wysoko cenił i poświęcił im swoje rozliczne dzieła artystyczne. Warto zaznaczyć, że pochówek artysty na tym historycznym cmentarzu, to pierwszy i jedyny od grudnia 1914 r.

Grób artysty to obecnie miejsce, gdzie odbywają się uroczystości związane z patriotycznymi obchodami rocznic państwowych i żołnierskich. To równocześnie dowód pamięci dla tego, który chcąc przypomnieć światu o bohaterstwie polskich żołnierzy walczących nie tylko o wolność własnego narodu, ale także innych, założył w Chicago, jedyne poza Polską, prywatne Muzeum Wojska Polskiego, by światu pokazać bohaterstwo naszych rodaków.

W sierpniu 1992 r. podążając za swym przyjacielem Wincentym odszedł do wieczności długoletni katecheta limanowski, wspaniały pedagog, harcmistrz, patriota, Wielki CZŁOWIEK ks. Jan Rachwał, oddając przedtem wymieniony już obraz i całą zgromadzoną kolekcję innych dzieł (był koneserem) w zacne ręce Ks. prałata Józefa Poręby, który przekazał ją powstającej placówce.

3 listopada 1988 r. z inicjatywy ks. biskupa Bednarczyka otwarto Muzeum Parafialne w Limanowej. Znalazły się w nim wszystkie eksponaty gromadzone nie tylko przez duchownych, lecz także osoby świeckie. Najwięcej cieszy wielki zbiór obrazów.

To wielka radość móc poznawać za bytki przeszłości, ciekawe okazy sztuki dawnej i współczesnej. To budzi dumę, że tyle osób zdecydowało się oddać swe rodzinne „skarby”, by obecne i przyszłe pokolenia mogły je oglądać. Zebrane zbiory są bowiem darem ludzi wielkiego serca.

Przekazując cenne przedmioty do Muzeum warto zamieszczać przy nich uwagi, historie związane z nimi, bo pozwalają poznać okoliczności ich powstania, dzieje, które są czasem tak ciekawe jak życiorysy ludzi, a zwiedzającym bardziej zapadną w pamięci. Pozwolą zrozumieć ich sens i wartość.

To żmudna praca dla tych, którzy będą tworzyć katalog dzieł Muzeum Parafialnego w Limanowej, ale pomoże bliżej poznać wartość eksponatów, a tym, którzy w przyszłości zechcą pisać

prace naukowe na temat zbiorów, uprosi sprawę. Wierzę, że na pewno znajdą się tacy dociekliwi naukowcy lub studenci, którzy zechcą podjąć taki temat. Wszak Limanowa to piękny rejon naszej Ojczyzny i zacne, pełne perspektyw miasto, które warto zaprezentować w całej urodzie i „zwabić” turystów, pokazując jeszcze jeden dodatkowy obiekt godzien zwiedzenia.

Należałoby ponadto prosić o wyznaczenie stałych dni na zwiedzanie Muzeum Parafialnego. Na początek chociażby dwa razy w miesiącu, by przede wszystkim mieszkańcy miasta mogli poznać jego zasoby. Jest to bardzo ważne zwłaszcza teraz, gdy są wakacje i Limanową odwiedzają liczni turyści. Turystyka, obiekty godne zwiedzenia, wzbudzenie zainteresowania okolicą, to znaczący krok, by miasto mogło czerpać z tego korzyści i jeszcze bardziej zaznaczyć swój ślad na turystycznej mapie.

Teraz pora jeszcze raz powrócić do obrazu Wincentego Gawrona pt. „Ksiądz Kazimierz Łazarski prowadzi limanowian oraz żołnierzy I i II wojny światowej do Chrystusa”. Warto przyjrzeć się dokładnie grupie osób podążających za księdzem prałatem. W jasnej szacie zwrócony do idących Chrystus czeka na wszystkich, na cały idący tłum ludzi, ale w pierwszej kolejności chce przywitać tego, który był ich przewodnikiem, który ich do Niego wiedzie. Utrudzona twarz Kapłana dźwigającego krzyż mimo widocznego zmęczenia jest zadowolona, bo wypełnił swoje posłannictwo.

Za nim podążają żołnierze, za nimi chłopiec, prawdopodobnie uczeń gimnazjalny na co wskazuje strój, a potem ludzie skromnie ubrani w różnym wieku, mężczyźni, kobiety.

Nikt ze zwiedzających nie zwrócił uwagi na kobietę w czerni z pochyloną głową idącą po lewej stronie tuż na duszpasterzem. To ona była dla artysty najważniejsza. To jego ukochana MATKA zawsze wierna i oddana. To w podzięce za podniosłą uroczystość pożegnalną zorganizowaną dla kobiety, która dała mu życie i kochała tak, jak tylko MATKA kochać potrafi, syn chciał podziękować ks. Prałatowi.

Umieścił ją z boku, bo zawsze była skromna i nie wysuwała swojej osoby na pierwsze miejsce, ale wierzył, że widowie będą baczni obserwatorami i zobaczą to, co artysta pragnie im przekazać.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Kredyt Spełnienie Marzeń

Nie odkładaj planów na później -
realizuj je teraz z kredytem bez prowizji!



Tylko teraz prowizja 0%

Skorzystaj z promocji i zrealizuj swoje marzenia:

- ✓ kwota kredytu do 100 000 zł
- ✓ możliwość wyboru ubezpieczenia
- ✓ okres kredytowania do 60 miesięcy
- ✓ bez ukrytych kosztów
- ✓ szybka decyzja kredytowa
- ✓ wysokość raty dopasowana do indywidualnych potrzeb

Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka udzielanego w ramach promocji „SPEŁNIENIE MARZEŃ”:

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 9,92% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 11 720 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 375,56 zł i jedna rata 377,13 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50% w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 13 521,73 zł, w tym: całkowita kwota kredytu - 11 720 zł, całkowity koszt kredytu - 1 801,73 zł, na który składają się: odsetki - 1 801,73 zł, prowizja za udzielenie kredytu - 0 zł, składka ubezpieczeniowa - 0 zł oraz opłata przygotowawcza - 0 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 19.03.2018 r. na przykładzie reprezentatywnym. Przyznanie kredytu przez Bank uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

„Spełnienie marzeń”... w najbliższej placówce Banku!

NOWE MIESZKANIA

W ZABUDOWIE SZEREGOWEJ

JUŻ W SPRZEDAŻY

LIMANOWA, UL. KOCHANOWSKIEGO



OSIEDLE

KOCHANOWSKIEGO



tel. 604 426 516

tel. 696 567 753

e-mail: anna.dziedzic@impuls-psb.pl

www.kochanowskiego.limanowa.pl